Rok XV. Nr. 4.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO a PAULO.

Kwartał IV.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Ks. Ks. Misyonarzy.
1909.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata wynosi rocznie **7 Kor. (7 Mk.)**

Upraszamy uprzejmie o łaskawe nadsyłanie kosztów prenumeraty na rok 1909 pod adresem: Redakcya „Roczników obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo“ — Ks. Ks. Misyonarze, Kraków, Kleparz L. 19.

NR 4

Z okazyi 50-letniego jubileuszu otwarcia domu centralnego i nowej prowincyi krakowskiej Sióstr Miłosierdzia.

Siostry Miłosierdzia prow. krakowskiej obchodziły dnia 15. października b. r. 50-letni jubileusz otwarcia domu centralnego i założenia nowej prowincyi krakowskiej. I miały za co dziękować Bogu, bo Opatrzność Boża w założeniu tego domu i prowincyi, jak i błogosławieństwo i opieka nieba nad niemi przez te lat 50, godna podziwu i uwielbienia. Słusznie więc, że odczuwały potrzebę w uroczystem *Te Deum* wyznawać Panu, że dobry, że na wieki Miłosierdzie Jego.

Dawna prowincya galicyjska była wątła, składała się ze 116 Sióstr w 13-tu zakładach, a na czele jej stała słaba, bo wiekiem wyczerpana i słabego zdrowia wizytatorka Siostra Łucya Borowska, w domu centralnym tej prowincyi u św. Wincentego we Lwowie. Wielki odnowiciel Zgromadzenia całego ks. Étienne podczas swego pobytu we Lwowie w 1857 r. uznał, że nowe trzeba tchnąć tutaj życie. Postanowił, aby nową stworzyć prowincyę z nowym domem centralnym i seminaryum. Polecił ks. Klingerowi, ówczesnemu dyrektorowi Sióstr, aby pomyślał o nowym domu centralnym w Krakowie. Myślał ks. Klinger, ale wymyślił i wynalazł sam Bóg. Żył wówczas w Krakowie ks. biskup Ludwik Łętowski, dawniej administrator dyecezyi, a teraz dziekan kapituły, typ polskiego szlachcica i żołnierza, któremu po trudach wojskowego życia i walce za sprawę Ojczyzny, pozwolił Bóg jeszcze pół wieku poświęcić służbie ołtarza, a przez lat 23 dzierżyć pastorał biskupi. „Na probostwie, pisze w swym pamiętniku,

miałem tylko obiad za złotówkę, a wywiozłem z niego kapotę starą i parę worków książek. Kanonia nie wiele mi dała, a wszystko sprawiać mi przyszło. Dopiero podratowała mnie senatorya i stanąłem na nogi zostawszy administratorem. Na administracyi 36.000 złp. rocznie. Uzbierał się przeto kapitalik, co rósł rok rocznie odcinanymi kuponami od papierów" [1]).

I oto kiedy ks. Klinger z polecenia O. Generała myślał o nowym domu centralnym, ks. Biskup „raz gdy nowa sumka się uzbierała", zagląda do kantorka, gdzie złożony był jego rosnący kapitalik i, jak pisze, wstyd go wielki ogarnął na widok tych pieniędzy. „A nuż Pan Bóg zawoła, jakiż rachunek zdam z pozostawionego grosza i jakiż wstyd przed ludźmi po śmierci, gdy zobaczą pozostałe po księdzu pieniądze. Zarumieniłem się sam przed sobą na tę myśl i ukorzyłem się przed Bogiem". W zamyśleniu zamknął ks. Biskup kantorek i wybrał się na przechadzkę w stronę Kleparza. Zadumany minął kościół św. Floryana i doszedł do miejsca, gdzie stał walący się kościółek św. Szymona i Judy, zamieniony na magazyn zboża. Obok kościółka dalej stał dom jednopiętrowy o dziewięciu oknach w parterze, w nim szynk i schronienie zepsucia. Obok kościoła gromada odartych dzieci krzyczy i skacze. Zatrzymał się ks. Biskup i popatrzył na ten smutny obraz. To samo natchnienie, co przy kantorku na widok pieniędzy tak mu się zawstydzić kazało, popchnęło go teraz ku tej nędzy. Zbliżył się do dzieci. „Zapytam jedno, drugie, czy umie pacierz, a dzieci ledwo przeżegnać się umieją. A gdzież matka, że nie nauczyła pacierza? Jedno było sierotą, inne zaś wymawiały się, że matka cały dzień sprzedaje owoce na plantacyach lub idzie na zarobek, zanim dzieci się zbudzą, i niema komu podać łyżkę strawy i nauczyć pacierza. Wracam do domu, wstyd mnie jeszcze większy tych pieniędzy w kantorku. — Znałem dobrze Zgrom. Sióstr Miłosierdzia, Bóg dobry dał natchnienie". Postanowił

---

[1]) Z pamiętników ks. Biskupa w Lud. hr. Dębickiego: „Ks. Biskup Łętowski" (Lwów 1873)

ks. Biskup, że jego kantorkiem odtąd będzie ta nędza na Kleparzu, do której przed chwilą poprowadził go Bóg. Kupił walący się kościół i ów dom nieszczęsny w sąsiedztwie, potem się zwrócił do ks. Étienne z prośbą o Siostry Miłosierdzia i ofiarował kupiony dom i kościół na ochronę dla biednych dzieci. Oto dom centralny, którego O. Generał szukać kazał. — Były wówczas w Paryżu S. Aniela Wąsalska, sposobiąca się na dyrektorkę seminaryum, S. Joanna Świętorzecka, co świeżo otrzymała św. suknię, i S. Ostrowska, sposobiąca się do ślubów św. Te postanowił O. Generał wysłać do nowego domu. Gdy zaś tymczasem S. Borowska prosiła już, aby ją z urzędu wizytatorki zwolnić, obrał i nową wizytatorkę w osobie S. Maryi Talbot, o której Ludwik Dębicki w biografii Biskupa Łętowskiego pisze: „Opatrzność zesłała do naszego kraju pełnego nędzy, niestrudzoną, genialną istotę, pełną świętego zapału, w osobie przełożonej zakonu. Obca rodem, rozporządzająca funduszami z zagranicy płynącymi, Matka Talbot ukochała tę naszą nędzę, ukochała ten lud polski, którego mowę sobie przyswoiła, te dziatki kleparskie, i dokonała w krótkim przeciągu czasu dzieła podziwieniem przejmującego“. Jako asystentkę dodał jej tamże w Paryżu przebywającą Siostrę Maryę Switeczky. — Cała ta gromadka ze swą przełożoną na czele, przybyła do Krakowa 24. września 1859 r. Ruin kościółka i zaniedbanego domu jeszcze nie uporządkowano dostatecznie, więc zamieszkały w domu św. Łazarza, gdzie ówczesna przełożona S. Karolina Kohlrus przyjęła je z „serdeczną uprzejmością“. Tymczasem przybyła jeszcze ze Lwowa do tej gromadki S. Marya Kulesza, przeznaczona na sekretarkę, i S. Potocka.

Dnia 15. października „w dzień św. Jadwigi, patronki Polski, w sobotę“, jak zaznacza protokół tego aktu, postanowiono otworzyć i poświęcić ten nowy dom centralny, nowej prowincyi, która się odtąd nazywać będzie krakowską. O godzinie 2-giej po południu S. Talbot otoczona gromadką swych 6 Sióstr czekała na ks. Klingera, dyrektora Sióstr, który miał dom poświęcić. W tem ściśle domowem kółku

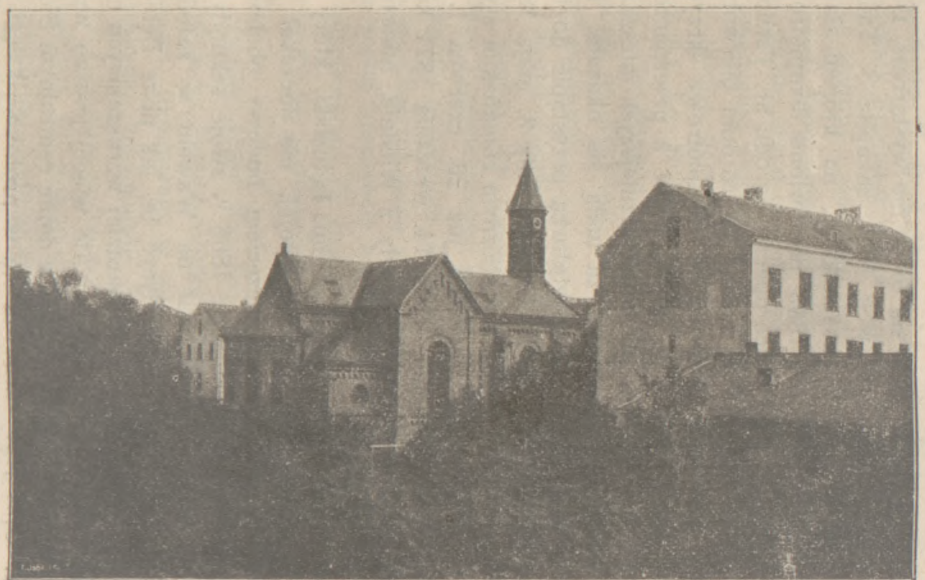
dokonał ks. Dyrektor poświęcenia. „Po skończonej ceremonii przemówił kilka słów pełnych uczucia i zbudowania do Sióstr obecnych stosownie do okoliczności kończąc w te słowa: Od chwili zamieszkania tego domu, który z wami równie jak i cała prowincya zostaje pod opieką Niepokalanej Maryi Panny i szczególną protekcyą św. Wincentego a Paulo, macie być wzorem przyszłym pokoleniom".

„Z końcem obrzędu, mówi dalej protokół, ks. Dyrektor opuścił to małe Zgromadzenie, a Siostry zajęły się urządzeniem domu i kaplicy, która stała się przybytkiem Króla królów 21. października".

Poświęcenia kaplicy t. j. owego opuszczonego kościółka, któremu „przez Jego dobroczynną miłość przywrócona jest należąca mu cześć", w nader uroczysty sposób dokonał sam Fundator. Dopełnił tego aktu wśród licznego duchowieństwa świeckiego i zakonnego, na którego czele byli kanonicy kapitulni wobec „dostojnych miasta" i wielkiej liczby osób pobożnych, dnia 21. października o 9-tej rano. Po poświęceniu kaplicy odprawił mszę św. pontyfikalną, „podczas której śpiewali amatorowie muzyki umyślnie zaproszeni w tej okoliczności". Po mszy św. poświęcił klucze domu, a po rozrzewniającej, pełnej zapału mowie, w której wzruszonym słuchaczom przedstawił cel, dla którego sprowadził Córki św. Wincentego tutaj i jak wielką pokłada nadzieję w ich przybyciu do tego miasta, wezwał S. Talbot do stopni ołtarza i „ze łzami w oczach pochodzącemi z rozczulenia, jakiem serce jego dobroczynne było przejęte", oddał jej te klucze poświęcone. *Te Deum laudamus* z rozrzewnieniem odśpiewane, zakończyło tę piękną uroczystość.

Seminaryum nowe otworzone zostało w tym domu w dzień Ofiarowania Najśw. Panny dnia 21. listopada tegoż roku i w ten sposób nowa prowincya całkowicie już zorganizowana została.

Jakby różdżką czarodziejską wywołany został ten dom centralny i ta nowa prowincya. Rzeczywiście działała tu



Kościół i Dom Centralny Sióstr Miłosierdzia w Krakowie.

różdżka, ale tą różdżką była cuda działająca Opatrzność. Ta sama różdżka działała i dalej.

Kapitalik z kantorka ks. Biskupa dokonał wiele, ale nie da się nim wytłómaczyć nad wyraz szybki rozrost tego nowego domu centralnego — bo na to on nie wystarczył. Dom rósł zadziwiająco szybko. Już w r. 1861 zakupiła S. Talbot miejsce od południa przed kościółkiem, na którem stanął dom dla sierót. W r. 1862 i 1863 postawiono dwupiętrowe skrzydło od północy, dotykajace obecnie ogrodu hr. Tarnowskich. W r. 1867 podniesiono o jedno piętro dom pierwotny. W następnym zaś roku wystawiono dwupiętrowe skrzydło od południa, przytykające do domu sierót a przeznaczone na szkółkę. — Już i kaplica dla coraz liczniejszych mieszkańców tak szybko rosnącego domu za małą się okazała. Nie zawahała się przedsiębiorcza wizytatorka przystąpić do budowy nowego przybytku dla P. Jezusa. Dnia 3. maja 1869 zaczęła budowę nowego kościoła w ślicznym romańskim stylu, którego kamień węgielny poświęcił już 28. czerwca t. r. ś. p. ks. Wizytator Soubieille. Dnia 14. września 1871 konsekrował ten piękny kościół przybyły z Wiednia nuncyusz papieski ks. Falcinelli.

Wspaniałomyślny fundator ks. bp. Łętowski, który się tak cieszył rozwojem tej fundacyi swojej, nie doczekał już nowego kościoła. Rok przed zaczęciem budowy obchodził ten 82-letni starzec dnia 10. maja 1868 r. swoje sekundycye kapłańskie. Uroczystą sumę miał na Wawelu w katedrze wobec natłoku wiernych. Sekundycye te, jak pisze Dębicki, były jedną z najpiękniejszych, najbardziej wzruszających uroczystości, jakie Kraków zapamięta. Ale więcej jeszcze wzruszający był obchód tej uroczystości w domu centralnym Sióstr Miłosierdzia. Opis jego zachował się w protokóle księgi rad prowincyonalnych, który spisano, „iżby Siostry co po nas nastąpią odczytywały z radością co powyż opisano“. Ponieważ przy tem uroczystość ta jest obrazem, jak fundator ukochał to dzieło swoje, jak czuł się tu jakby wśród rodziny swojej i jak bardzo rzewnie kochało ubogich serce tego żoł-

nierza-biskupa, nie mogę nie przepisać tutaj w całości protokółu tego.

„10-go maja 1868 r. w którym to dniu kościół obchodził święto N. P. Łaskawej, ksiądz Biskup Łętowski nasz Czcigodny Fundator odbył uroczyście w kościele katedralnym wobec tłumnie zebranego ludu, pięćdziesiątą rocznicę swej pierwszej Mszy świętej. Około południa Jego Przewielebność udał się do domu centralnego dla obejmowania głów całemu Zgromadzeniu stosownie do zwyczaju. Był oczekiwany w kaplicy (którą przyozdobiono odpowiednio do okoliczności), przez Ks. Ks. Misyonarzy i ich nowicyuszów, jakoteż Siostry domu Centralnego i Siostry służebne domów prowincyi, które przybyły do Krakowa szczęśliwym trafem dla odbycia rekollekcyi rocznych.

Skoro Czcigodny Jubilat przeszedł próg wnętrznych drzwi kaplicy, ks. Soubieille nasz Szanowny Dyrektor miał do Jego Przewielebności mowę, w której wyraził wdzięczność i życzenia podwójnej Rodziny św. Wincentego. Ks. Biskup odpowiedział też kilka słów pełnych tkliwości i zaprowadzonym został uroczyście na tron umyślnie dla niego urządzony. Po odśpiewaniu *Te Deum*, Jego Przewielebność miał małą przemowę do Zgromadzenia, poczem nastąpiło obejmowanie głów.

Potem kiedy Ks. Ks. Misyonarze śpiewali *Magnificat* i *Laudate*, ks. Biskup ceremonię skończył i udał się do ogrodu, gdzie go oczekiwały w porządku ustawione sieroty domu Centralnego, pięćdziesiąt mężczyzn ubogich i tyleż kobiet, których Jego Przewielebność zaprosił jeść z nim obiad w domu Centralnym. Ks. Biskup wysłuchał powinszowanie miane przez jedną sierotkę biało przybraną, przemówił z dobrocią kilka słów do zebranych dzieci, a potem udał się do swoich ukochanych ubogich, przechodząc przez podwójny szpaler, któren formowali. — Starał się dać im wszystkim poznać, że nasz Zbawiciel kocha ubogich; ażeby uzacnić ubóstwo, chciał w tym dniu dać im dowód swej życzliwości i szacunku, jaki ma do ubóstwa, zapraszając ich wraz z sobą na obiad.

Wszyscy ci biedacy płakali z rozczulenia i okazywali każdy swoim sposobem wdzięczność, jakiej doświadczyli ze strony Czcigodnego Gościa, któren dozwolił im usiąść tegoż dnia wraz z sobą do stołu. Korytarz szklany został przemieniony w salę jadalną, a stoły w podkowę porządnie ustawione dla ubogich. Pierwsze miejsce znajdowało się w półkolu między mężczyznami i kobietami, ozdobione obiciem, festonami w liście winogron, a w pośrodku znajdował się herb Czcigodnego Jubilata i to dla niego było przeznaczone. Siostry kazały postępować po przed księdza Biskupa wszystkim zaproszonym i umieszczały porządkiem. A gdy Jego Przewielebność raczył potrawy pobłogosławić, wszyscy zabrali się z apetytem do jedzenia. Obiad składał się według rozporządzenia ks. Biskupa. Talerz rosołu z ryżem, pół funta sztuki mięsa z porcyą kwaśnej kapusty, pół funta pieczeni cielęcej, pół funta chleba i ciasteczko; pół butelki piwa i dobrą szklankę wina węgierskiego.

Nasze Siostry Jubilatki wygnane z Rosyi miały zaszczyt służyć ks. Biskupowi, inne obsługiwały ubogich, reszta zaś Sióstr, które nie miały żadnego wydziału, były spektatorkami tej uroczystości, do czego jakby i niebo przyczyniło się przez czas prześliczny.

Przy końcu obiadu Jego Przewielebność przytoczył małą historyjkę swoim zaproszonym, dla zachęcenia ich do pozostania zawsze prawdziwymi chrześcijanami; — wkońcu pił ich zdrowie, ubodzy odpowiedzieli za toast wyrazem wdzięczności, nawzajem też wszyscy pili zdrowie ks. Biskupa i obiad skończono.

Jego Przewielebność oddalił się, a potem ubodzy, zabierając z sobą resztki obiadu i słodkie wspomnienie dnia pięknego, które zapewne nie zatrze się w ich pamięci, jako też i naszych Sióstr, które uczestniczyły w podwójnej ceremonii".

W trzy miesiące potem w dzień swojego patrona (25. sierpnia), pielęgnowany troskliwie w chorobie przez Siostry Miłosierdzia z Kleparza, zakończył ten świątobliwy Biskup swoje piękne doczesne życie. Pragnął, aby ciało jego spo-

częło w nowym kościele Sióstr na Kleparzu, to też chwilowo tylko złożono jego zwłoki w grobach królewskich na Wawelu, a w październiku 1872 r. w uroczystym pogrzebowym pochodzie przeniesiono je do grobowca w podziemiach nowego kościoła. Przedtem jeszcze w osobnej urnie złożono w tymże kościele jego złote, tak pełne miłosierdzia dla ubogich serce.

„Jeźli pociechą starości ks. Łętowskiego, jak mówi w pamiętniku, była ta fundacya, to duch jego rozradować się musi z poza grobu, że z jego początkowania dla chwały boskiej i dobra bliźnich, tak wielkie wzrosło dzieło“ [1]).

Rzeczywiście w szybkim rozwoju swoim bardzo to dzieło wzrosło. Razem z domem centralnym rosła prowincya — a rosła przez całe lat 50 aż nazbyt szybko. W końcu roku 1859 było w tej nowej prowincyi zakładów 14, a Sióstr 123, a z końcem roku 1908 liczy taż prowincya domów 59, a Sióstr 665. — Przez całe te lat 50 tak zawsze dobitnie okazywało się, co pisze wspomniany biograf ks. biskupa Łętowskiego: „Bóg też cudownie dziełem się tem opiekował. Biskup Łętowski, jakby za spadkobierców przybrał sobie dziatki kleparskie; jakoż dziś idąc tam, kędy się walił kościółek św. Szymona i Judy, wznosi się wspaniała świątynia romańskiego stylu, otoczona rozległemi budowlami klasztornemi. Tam kędy owe dzieci nieumiejące pacierza swawoliły mimo głodu i odarcia, tam rozlega się śpiew pobożny dziatek przybranych, uczesanych i żywionych przez Siostry; tam i dziś na dziedzińcu igrają dziatki kleparskie, ale pod okiem widomego Anioła Stróża, Siostry Miłosierdzia; tam wszelka nędza ma opatrzenie, stamtąd płyną zdroje miłosierdzia i rozlewają się na całe miasto, kojąc dolegliwości ciała i nędze materyalne, a chroniąc dusze od chorób gorszych, od nędz straszniejszych, od gangreny moralnej, zepsucia obyczajowego i religijnego“.

---

[1]) Hr. L. Dębicki (l. c.).

Dlatego Siostry wielbiąc z wdzięcznością dobrotliwą Opatrzność Boga śpiewały dnia 15. października uroczyście *Te Deum laudamus* i gorąco się modliły za dusze tych, co tak dobrem byli narzędziem w rękach tej Opatrzności, za duszę śp. Biskupa Łętowskiego i Siostry Talbot.

Ks. K. S.

Z Parany.

Itayopolis (Lucena).

List ks. Kominka z dnia 17. sierpnia b. r.

Z dniem 1. lipca otrzymaliśmy „kamrę“ dla naszej kolonii, t. j. samodzielny zarząd, niezależny, jak dotąd, od Rio Negro. Równocześnie kolonia otrzymała inną nazwę urzędową, zamiast *Lucena* nazywa się *Itayopolis*, i to ogólnie cała kolonia, a kolonie poszczególne czyli linie zachowują swe dawne nazwy. Adres do nas będzie: *Itayopolis, estado do Paraná — via Rio Negro.* Ponieważ początkowo mogą być pomyłki, dobrzeby było podać w nawiasie dawną nazwę, *Lucena.*

Poczta dochodzi nas dosyć sumiennie, o ile się zdaje. Wprawdzie nie otrzymaliśmy Schematyzmu Zgromadzenia na rok 1909, ale nie wiemy, czy był wysłany czy nie. Czasem się listy opóźnią, ale temu trudno zaradzić. Ks. Superyor Chylaszek był na odpust na Lucenie, 8. maja. Mówił, że obecnie ma bardzo wiele do roboty, bo stawiają nowe presbiteryum, musi ciągle być obecnym przy robotnikach.

Przyjazd ks. Wyszyńskiego jeszcze nie jest pewny. Ma w północnej Ameryce dobrą posadę i zdaje się, że żal mu będzie ją opuścić. Byłem w lipcu na Rio Vermelho. Zaczęliśmy budowę nowego kościółka murowanego, bo ks. biskup Becker na to wciąż nalegał, a stary drewniany kościółek może się lada dzień rozpaść. Dotąd splantowano miejsce pod kościółek, zwieziono kamień, połowa drzewa gotowego i postawiono cegielnię na gruncie kościelnym, bardzo blizko kościoła. Zrobiłem składkę na budowę kościoła i zebrałem 825 milów i jednego konia. Choć kolonia niewielka, ale lud dobry

i ofiarny. Na zgromadzeniu uchwalili, aby każda rodzina dała po 2 milrejsy na wapno i po 25 na cegłę. Zaraz w tym samym dniu zebrano kilkadziesiąt milrejsów. Do nowego roku mają być gotowe fundamenta i cegły wypalonej 60 tysięcy. Kościółek ma być 18½ metra długi, a 9 metrów szeroki. Trudna będzie sprawa w razie, gdyby ks. Wyszyński nie przyjechał. W czasie budowy kościoła koniecznieby musiał być jeden ksiądz na miejscu — a o przyłączeniu do Sao Benta słyszeć niechcą. W każdym razie we wrześniu nadejdzie stanowcza odpowiedź od ks. Wyszyńskiego.

Obecnie zaczyna się u nas wiosna; żyta po większej części posiane, lecz nie wiadomo, co z nich będzie, bo szarańcza po parę dni w różnych kierunkach przeciąga. Zdaje się, że i tego roku nas nawiedzi. Dziś tydzień napadli Bugrzy (Indyanie), w lasach za Iracemą na paru Rusinów zajętych spuszczaniem borów. Jeden z pracowników dostał strzałą w gardło i kto wie, czy nie zemrze, a drugi w nogę. W tym czasie trochę niebezpiecznie z Bugrami, bo ich głód zmusza do napadów. Piniorów już niema, a owoców leśnych brak.

Dzięki Panu Bogu jesteśmy obaj zdrowi. Wprawdzie ks Stawianowski trochę narzeka na ból głowy i wogóle jest osłabiony, ale już 8. września ma być pierwsza Komunia św. dziatwy, to potem będzie nieco odpoczynku dla nas, bo będzie dłuższy czas przerwa w katechiźmie.

Rio Claro.

List ks. Kandory z dnia 1. września b r.

W tym roku jakoś P. Bóg bardziej pobłogosławił naszej pracy. W roku ubiegłym przystąpiło do spowiedzi wielkanocnej zaledwo 1300 dusz, a w tym roku mieliśmy przeszło 2000 spowiedzi. Widać że nie napróżno wołaliśmy co niedzielę, zachęcając do spowiedzi wielkanocnej. Przychodziło mnóstwo takich, co ostatni raz spowiadali się na misyach świętych przed pięciu laty. Wielu się wyspowiadało, ale jest

jeszcze mnóstwo takich, co stronią od trybunału Pokuty. Mam nadzieję, że w czasie odpustu wielu marnotrawnych synów wróci do Ojca swojego. Zawsze w uroczystość Matki Najśw. nawraca się wielu zatwardziałych grzeszników, więc i u nas będzie to samo w uroczystość Matki Boskiej Różańcowej; zwłaszcza, że obiecało się z pomocą kilku księży konfratrów.

Pomagamy też naszemu księdzu sąsiadowi, ks. Smołusze w Mateuszu. Kiedy miał przyjęcie dzieci do pierwszej Komunii św. pomagał mu ks. Dejewski. W czasie wielkanocnym bawiłem tam ja blizko tydzień; wyspowiadaliśmy całą parafię.

Po Wielkanocy rozpoczęliśmy naukę katechizmu do I Komunii św.

Ks. Dejewski uczy dwa razy tygodniowo w samem Rio Claro, a ja dojeżdżam do kaplicy na S. Pedro raz w tygodniu.

Jak już pisałem Przew. Księdzu Wizytatorowi, mieliśmy wiele kłopotu z tą kaplicą. Nie chciał ks. Biskup pozwolić na jej otwarcie, ponieważ była poświęcona przez ks. Stankiewicza nieuznanego przez Biskupa. Kiedy już tę przeszkodę pokonano, znowu ks. Biskup żądał zapisu miejsca, lud nie chciał o tem słyszeć. Dopiero, kiedy się zjawił Petrycki, schizmatyk, pisałem, że i Polacy pójdą do cerkwi schizmatyckiej i otrzymałem pozwolenie na odprawianie nabożeństwa. Dojeżdżamy tam dotąd co miesiąc w drugą niedzielę i we większe święta. Kaplica ta jest oddalona od kościoła 20 kilometrów, a do niej jeszcze ludzie mają po 20 i więcej kilometrów. Przychodzą tu dotąd Polacy porozrzucani po lasach, siedzący na szakrach, które pokupowali; również i Polacy, mieszkający na końcach naszych kolonii, tutaj się zgromadzają. Z czasem będzie musiał osiąść tutaj ksiądz na stałe, bo kolonistów coraz więcej osiedla się wokoło.

Przy tej kaplicy mamy zamiar postawić szkółkę, a już skromny fundusik mamy z loteryi fantowej, którąśmy urządzili na Przemienienie Pańskie. Jest ona tutaj koniecznie potrzebną, chociaż mało Polaków może z niej korzystać. Dwa

kilometry stąd jest stacya kolejowa Marechal-Mallet. Tutaj to wrogowie Kościoła chcą postawić szkołę, do której nie będzie miał przystępu żaden ksiądz ani żadna książka religijna, jak to uchwalili na pierwszem posiedzeniu. Nie w smak też jest tym wrogom kaplica, bo już nie mogą tak szydzić z religii. Grubo się pomylił Warchałowski, kiedy powiedział, że Polacy w Rio Claro nie mają już wiary. Może była nieco osłabła w czasie walki, ale jak pisał ks. Mięsopust, że *levanta se* wiara u Bazylian, tak samo u naszych Polaków wzrasta ona i to nas napełnia radością.

Staramy się także i kościół materyalny upiększyć. Ogrodziliśmy go pięknym ambujowym płotem, a niebawem będziemy go pokrywać nowym gontem. Sprowadziliśmy piękne harmonium za 700 milów, które zaraz przyczyniło się do podniesienia nabożeństwa. Wkrótce też ma stanąć na jednym z ołtarzy figura Serca P. Jezusa, która ma nadejść z Europy. Mam nadzieję, że skoro tak P. Jezus stanie w naszym kościele, zapali niejedno oziębłe serce miłością.

W tym roku przybyło nam jeszcze pracy, bo obok naszej wielkiej kolonii powstaje druga, mająca osiedlić 700 familii na swych szakrach. Nazywa się Candido de Abreu. Tuż za rzeką Rio Claro, która płynie obok naszego kościoła, rozciąga się ogromna puszcza, która należała do p. Zachariasza. Ten odsprzedał ją rządowi federalnemu. Rząd w tej chwili zabrał się do pracy, wysłał mnóstwo urzędników, a szefem całej kolonii został zamianowany Polak p. Saporski, który już 45 lat bawi w Brazylii, a pomimo tego nie przestał być Polakiem. Jest to ojciec kolonizacyi Polaków, on pierwszy zwrócił uwagę rządu, aby zamiast Niemców sprowadzać Polaków do Parany. Dał mi zawiadomienie, abym przyjechał obrać miejsce pod kościół, niezwłocznie wybrałem się tam dotąd, aby objąć dwa szakry pod dom Boży, a jeden pod plebanię. Emigrantów jeszcze nie było, ale już znać zainteresowanie się nimi. Wszędzie wycinano w borze drogi i odmierzano szakry. Na stacyi wybudowano ogromny barak, podobny do arki Noego, na zewnątrz imponujący wielkością,

ale wewnątrz nie przypadający do gustu. Cały ten gmach to jedna sala o trzech rzędach desek. Na tych to deskach mieli leżeć emigranci jeden obok drugiego. Nic też dziwnego, że to niekorzystnie wpłynęło na zdrowie ciała; wszystko prawie chorowało, wielu umarło nie zaznawszy raju brazylijskiego; a jak to źle wpływa na zdrowie duszy, trudno o tem pisać.

Drugim punktem jest tak zwane sedé — miasteczko. Zbudowano tu domy urzędników; tutaj też osiedliło się mnóstwo wendystów, chcących się zbogacić złotem przywiezionem przez emigrantów. Dla ludzi zbudowano mizerne budki; nie mam pojęcia, jak się mieści tutaj rodzina liczniejsza, ale lepsze są jednak od baraku, przynajmniej każda rodzina mieszka osobno. Z tych to budek przenoszą się powoli koloniści na szakry. Wikt otrzymują od rządu przez pół roku, przyczem liczą 500 rejsów na osobę, na dziecko do trzech lat 250. Za te pieniądze mogą wybrać we wendzie, co im się podoba. Pieniędzy jednak nie dostają, tylko każdy ma książeczkę, z którą idą do wendy. Za to muszą pracować na rządowej drodze przez 15 dni.

Lud wogóle zadowolony; mówią, że rząd im wszystko daje, i rzeczywiście dostają naczynia kuchenne, narzędzia do uprawy roli, żyto, owies i t. d. na zasiew, ziemniaki do sadzenia, jednem słowem wszystko, co im potrzebne. W osobie szefa p. Saporskiego mają prawdziwie dobrego ojca; co może, robi dla nich. Widziałem raz, jak kazał z wendy przynieść chorej kamaszki, a zdjąć buty, bo to nie wygodnie, jak mówił. Szkoda tylko wielka, że zanadto jest oględny. Mówiłem z nim, aby umieszczać osobno Polaków, osobno Rusinów; on lękając się jakiego podejrzenia, każe im ciągnąć losy na szakry. Stąd znowu ta mieszanina niemożliwa.

Jedna rzecz tylko smuci ich; ciągle powtarzają, zwłaszcza kobiety: co my tu będziemy robić, kościoła niema, cerkwi niema, i płaczą. Nie podobają im się również ludzie ich otaczający; mówią, że oni ani do Boga, ani do ludzi. Nikt cię nie pozdrowi: „Niech będzie pochwalony...“ tylko „dzień dobry“, nawet Polacy. Słusznie to zauważyli emigranci. Nasi

ludzie przyzwyczajają się mówić tak jak Brazylianie, „dzień dobry“, a zapominają o naszem staropolskiem pozdrowieniu. Zwracamy ciągle na to uwagę.

Jeszcze więcej ich zdziwiło, kiedy w poście zaprowadzono im muzykę do baraków i tam im grano, wtenczas już nie mogli wyjść z osłupienia. Przyjmowano wtedy uroczyście prezydenta Affonso Penna, a bez muzyki trudno im się przy tem obejść. Jak już wiadomo Przew. Księdzu Wizytatorowi, ukończono już kolej z Sao Paulo do Parany, tak, że ks. Wizytator, kiedy przyjedzie do nas, czego się wkrótce spodziewamy, nie potrzebuje już męczyć się na tych brudnych parowcach, ale koleją do nas z Rio się dostanie. Urządzono również i na nowej kolonii przyjęcie prezydentowi, na które i mnie poproszono. Czekaliśmy od godziny 5 do 11. Nareszcie nadjechały cztery pociągi pełne dygnitarzy, a między nimi prezydent. Dziewczątka w bieli podały mu adres w języku polskim i portugalskim. Pokrzepił się zwyczajem brazylijskim kawą i wyszedł przed bramę tryumfalną pięknie przystrojoną flagami polskiemi, austryackiemi, brazylijskiemi; u samej góry widniał napis: *Ao Dr. Affonso Penna — os Polacos agradaidos — do nucleo Candido de Abreu.* (Dr. Alfonsowi Penna — wdzięczni Polacy — z kolonii Candido de Abreu.). Zobaczywszy mnie zbliżył się i przemówił kilka słów, pytając ilu Polaków mam w parafii, czy są zadowoleni, i mówił, żeby wszyscy Polacy przyszli do Brazylii. Przyjemny staruszek, katolik praktykujący, co jest zasługą Sióstr Miłosiedzia, bo to ich wychowanek. Niestety niedługo potem doniosły telegramy, że zmarł ze zmartwienia, które mu sprawiła opozycya.

Jak Przew. ks. Wizytator widzi, pole naszej pracy ogromnie wzrasta; z czasem nie podołamy tej pracy w dwóch, bo koloniści chcą, aby częściej do nich dojeżdżać; a jest to sprawa dosyć trudna, bo droga prawie niemożliwa, chociaż nie tak daleko. Będziemy robić, co będziemy mogli na chwałę Bogu.

Wycieczka misyjna do Polaków we Francyi.

Bordeaux, 28. lipca 1909 r.

Już miesiąc upływa, jak jestem w drodze; wypada zatem dać coś znać o sobie i podzielić się z konfratrami wrażeniami, których tu doznałem, odwiedzając po drodze współrodaków, szukających zarobku we Francyi.

Więcej tu Polaków, goniących za chlebem, niż się spodziewałem, a coraz więcej ich jeszcze napływa. Zajmuje się tą sprawą niejaki p. Wiktor Skołyszewski, poseł z okręgu wielickiego. Przed dwoma laty sprowadził on po raz pierwszy naszych robotników do Francyi, chcąc, po uchwaleniu przez sejm pruski prawa wywłaszczenia, odsunąć naszą siłę roboczą od gnębiących nas Prusaków, a skierować ją ku sympatyczniejszym Francuzom. Dobra myśl niezawodnie, ale nie łatwa do przeprowadzenia. Robotnik bowiem nasz natrafia tu na wielkie trudności, do których ku pociesze naszej i nie potrafi i nie chce się zastosować, bo jego polska dusza, choć we wielkiem nieraz zaniedbaniu moralnem, zbyt jeszcze katolicka, przywiązana jest do praktyk religijnych, które tu na każdym kroku gwałcić mu każą. Te kpiny z rzeczy świętych i ideałów naszych, z któremi co krok się spotyka rodak nasz u równych sobie, to zmuszanie do gwałcenia praktyk religijnych, ze strony pracodawców wydało już u słabszych złe owoce. Kierownicy tego wychodztwa powinni na to zwrócić uwagę.

Zmierzałem najpierw do Lunéville. Robotnicy bowiem tutejsi, zajęci we fabryce wagonów, prosili już w kwietniu bież. roku, aby im ułatwić spowiedź wielkanocną. Nie dało

16

się tego uskutecznić natychmiast. Dopiero w czerwcu bież. roku mając jechać do Francyi, postanowiłem zawadzić o Lunéville i pocieszyć naszych biedaków. Wybrałem się w drogę 25. czerwca i przez Berlin, Frankfurt nad Menem i Strassburg chciałem zdążyć do Lunéville.

Dnia 2. lipca przybyłem tam nareszcie. Miasto to drogie dla nas, bo tu żył i zakończył swe życie nieszczęśliwy nasz Stanisław Leszczyński, który nie mogąc uszczęśliwić swego narodu, uszczęśliwił panowaniem swem naród obcy. Miasto to wcale schludne, liczy około 23 tysiące mieszkańców. Historyczne jednak jego zabytki wskazują, że życie musiało tu kiedyś żywszem bić tętnem, niż obecnie. Dla Misyonarza Lunéville i z innego jeszcze względu jest drogie. Tutaj to bowiem św. Wincenty skrystalizował swe miłosierdzie. Kiedy bowiem Karol III. książę lotaryński złączył się z królem Nawary przeciw Ludwikowi XIII., oburzony król francuski wysyła swe wojska, które zdobywszy Lunéville, zniszczyły całe księstwo tak, że głód i nędza straszna zapanowały; wtedy św. Wincenty, nie bacząc, czy obrazi tem króla swego, wysyła do nieprzyjacielskiego kraju swoich synów i córki z pomocą duchowną i materyalną, a z życia jego wiemy, jakich cudów miłosierdzia tu dokonał.

Lotaryngia w roku 1697 odzyskuje samodzielność, a powracający na tron książę Leopold, nie chcąc mieszkać w stolicy Nancy, pod okiem załogi francuskiej, przenosi się na mieszkanie do Lunéville. Nie chcąc się zaprzągnąć do rydwanu Ludwika XIV. mimowoli jednak Leopold małpuje tego władcę w zachciankach jego, bo na wzór jego przenosi swą stolicę, buduje, jak on pałac taki sam, jak w Wersalu, takim samym otacza się dworem. W tym to pałacu zamieszkał nasz Stanisław Leszczyński, zostawszy księciem Lotaryngii. Ciekawy podaje o nim szczegół ksiądz Lebègue, kapelan dworu księcia Leopolda. Wypędzony z Polski, zamieszkał nasz wygnaniec pod pseudonimem ks. Kronstadu w Lunéville, w prywatnem mieszkaniu, podziękowawszy za ofiarowane mu przez ks. Leopolda apartamenta w pałacu. Po-

zbawiwszy go tronu, wydarto mu i prywatne mienie, tak, że król doszedłszy do ostatecznej nędzy, zmuszony był zastawić ostatnie swe klejnoty rodzinne. Dowiaduje się o tem ks. Leopold i wysyła hr. Lenoncourt z poleceniem wykupienia klejnotów i wręczenia ich, wraz ze znaczną sumą pieniędzy, królowi polskiemu, z zapewnieniem równocześnie zachowania tego w tajemnicy. Król przyjmuje z wdzięcznością upokarzającą jałmużnę. Ale jakież zdziwienie nastało w pałacu ks. Leopolda, kiedy już nazajutrz całe miasto o tem wiedziało. To król Stanisław ogłosił, aby podwładni wiedzieli, że wspaniałomyślnego mają władcę.

Stanąwszy w Lunéville, udałem się zaraz na plebanię przy kościele św. Jakóba. Proboszcz ks. Fruminet przyjąwszy mnie ze serdeczną szczerością, każe mnie prowadzić do przygotowanego salonu. Salonu mówię, bo trudno nazwać pokojem ubikacye takie, jak w tutejszej plebanii. Jest to dawniejszy pałac opatów kanoników regularnych, których fundował król Stanisław przy zbudowanym przez siebie kościele św. Jakóba. Kościół ten zbudowany przez architekta Boffrand, ucznia Mansard'a, jest jednym z najpiękniejszych zabytków stylu Ludwika XV. Wolnym jest on zupełnie od tych nienaturalnych krzywizn i przesadnych ozdób, ten styl zwykle znamionujących. — Do parafii św. Jakóba należą nasi Polacy. Nasamprzód udałem się do zarządu fabryki, w której są zajęci. Dyrektor, rzetelny katolik, przyjął mnie życzliwie i polecił jednemu z urzędników oprowadzić mnie wszędzie, gdzie są Polacy zajęci.

Spotkałem ich tu 14-tu, a wszyscy prawie przybyli przed szesnastu miesiącami. Dotychczas prawie żaden z nich nie umie słowa po francusku. Dawniej było ich tu więcej i dobrze im się powodziło. Zbudowano specyalny dla nich barak, gdzie mieli całe utrzymanie, za franka dziennie. Przy dobrym zarobku, bo wynoszącym 3·40 fr. dziennie, a w braku dostatecznej opieki duchownej rozpuścili się, rozpili, a razu pewnego zorganizowali między sobą strejk. Następstwem tego było, że stracili robotę, z baraku ich wypędzono. Ci,

którzy teraz przybyli, robotę otrzymali, ale zarząd zniechęcony, pomocy innej im odmawia. Pomimo tego chwalą sobie zajęcie i dosyć są zadowoleni. Zarabiają dziennie przeszło 3 franki. Zarobek zatem wcale nie mały. Jeżeli się jednak weźmie w rachubę drożyznę tutejszą, to zarobek ten ledwo wystarczy na opędzenie niezbędnych potrzeb życia, a mowy niema, aby coś odłożyć na czarną godzinę.

Kiedy przemówiłem do tych biedaków po polsku, łzy im stanęły w oczach. Od nich dowiedziałem się, że w Tomblaine koło Nancy jest naszych rodaków blizko 40. Wysłałem do nich posłańca, aby w najbliższą niedzielę zjechali do Lunéville. Zebrało się wszystkich koło 40. Aby nie przeszkadzać nabożeństwu w kościele parafialnym, poprosiłem Siostry Dobrego Pasterza o przytułek w ich kaplicy. Wyspowiadałem wszystkich; czterech tylko oświadczyło, że nie mają grzechu i usunęli się od spowiedzi. Po spowiedzi odprawiłem Mszę św., podczas której śpiewali sobie pieśni polskie, a ja wygłosiłem kazanie. Po nabożeństwie odwiedziłem niektórych w ich mieszkaniach. Zamieszkuje zwykle po dwóch w jednej izdebce, zwykle na poddaszu, za którą płacą miesięcznie 18 franków.

W czasie mego pobyty w Lunéville, dowiedziałem się, że gdzieś w okolicy Épinal jest zajętych w cegielni przeszło 40 polskich robotników. O ich doli różne ciekawe opowiadano mi rzeczy. Wybrałem się zatem w poniedziałek pierwszym pociągiem do Épinal, i udałem się do proboszcza, aby tu zasięgnąć języka. Wskazano mi Darnieulles, jako miejsce ich pobytu. Biorę bilet i jadę tam; na miejscu jednak przekonuję się, że Darnieulles to tylko stacya kolejowa, miejscowości Les Forges, w której znajdują się wzmiankowane cegielnie. Udaję się nasamprzód do proboszcza mieszkającego w Uxegney, wiosce oddalonej o dwa kilometry. Przybywszy tutaj, zamiast proboszcza zastaję jego siostrę, bo proboszcz wybrał się do miasta. Ta wystraszona mym widokiem, nie wie, co ma począć. Po chwili ochłonąwszy, wprowadza mnie do plebanii. Plebania ta to wydzierżawiona naj-

nędzniejsza chata we wiosce, podobna do starego karczmiska. Przed dwu bowiem laty kochające owieczki wypędziły swego pasterza z pięknej murowanej na piętro plebanii, a umieściły w niej urząd gminny i stróża pól gminnych. W parze z tą zaimprowizowaną plebanią idzie i dobrobyt proboszcza. Z każdego kąta wygląda tu bieda. Ale nie może być inaczej, bo proboszcz pozbawiony pensyi rządowej, posiadający parafię, liczącą zaledwo 1.300 dusz, a z których tylko 300, jak sam mi opowiadał, uczęszcza do kościoła, nie ma żyć z czego. Ten stan rzeczy przedstawia się jeszcze smutniej we Francyi południowej. Zapewniano mnie bowiem, że są parafie, i to nie rzadkie, w których pozostało zaledwo dwudziestu chrześcijan praktykujących. Smutna perspektywa na przysłość dla kościoła francuskiego!

Nie czekając na powrót proboszcza, udałem się sam do Les Forges, fabryki oddalonej o dwa kilometry od Uxegney, i przedstawiwszy się p. Gluntz'owi, dyrektorowi i zarazem właścicielowi tej fabryki, wyłuszczyłem cel mego przybycia. Krótko brzmiała odpowiedź p. Gluntza: „Nic nie mam przeciwko widzeniu się z Polakami, zajętymi u mnie, byleby się to odbyło w niedzielę“. Cały tydzień czekać we wiosce, w której niema hotelu, na karku ks. proboszczowi, który sam nie ma gdzie mieszkać, to rzecz niemożliwa. Przedstawiam zatem temu panu trudne me położenie. Na to odpowiada, że go to mało obchodzi. Niegrzeczna odpowiedź, ale pamiętając, że z Prusakiem i do tego z lutrem mam do czynienia, nie bardzo się temu dziwiłem. Podziękowawszy tylko za prawdziwie pruskie przyjęcie, które się odbyło na podwórzu, oddaliłem się. Tymczasem nadszedł ks. proboszcz. Od niego dowiedziałem się bliższych szczegółów o polskich robotnikach. Biedacy ci żyją we wielkiem opuszczeniu. Pan Gluntz stara się przez niejakiego W. Fredyka podpisującego się na listach „chef des Polonais“, ściągać podstępnym sposobem robotników naszych do siebie. Dostał mi się przypadkiem list jego do rąk, z którego można wnioskować, że jeżeli ten „chef des Polonais“ nie żyd galicyjski, to przy-

najmniej jakiś Niemiec, umiejący coś po polsku. Zwabił on naiwnych chłopów do siebie około 40-tu i stał się prawdziwym ich szefem. Zmusza ich do pracy w święta i w niedziele, a często posuwa się do kar cielesnych. Robotnik nasz skrzywdzony i jeszcze cieleśnie ukarany, w sąsiednim lesie szuka często schronienia. Wtedy Prusak obławy na niego czyni, a złapawszy dowolną wymierza karę. Kiedy mi to robotnicy w Lunéville opowiadali, nie mogłem temu dać wiary, musiałem jednak w to uwierzyć, otrzymawszy potwierdzenie tego z ust ks. probszcza w Uxegney.

Nie zdoławszy uzyskać u p. Gluntz'a ani połowy dnia wolnego, musiałem się zrzec zamiaru widzenia się z tymi biedakami.

Rzeczy takie, jak te, powinny dojść do usz kompetentnych w tej sprawie.

Smutna pozostaje mi pamiątka tych wizyt. Przekonałem się, żeśmy się stali helotami narodów sąsiednich. Wszędzie spotkać można Polaka głodnego, szukającego chleba, a wszędzie w usługach najniższych.

Ks. Wiktor Bieniasz.

Trzy lata w życiu ks. Śliwickiego.

1732—34.

Jest to znamienną i uderzającą rzeczą, że właśnie wtedy, gdy Polska coraz bardziej chyliła się do upadku, Zgromadzenie coraz lepiej w jej granicach się rozwijało, a gdy po smutnych dziejach za panowania Augusta II. i III., po bezsilnych rządach i coraz jaskrawiej występującej deprawacyi moralnej i politycznej za Stanisława Augusta wreszcie naród stoczył się w przepaść, Zgromadzenie, w przededniu tej katastrofy dziejowej, staje u szczytu swego rozwoju. Są to czasy, w których ster Zgromadzenia kierowany był szczęśliwą i pewną ręka najdzielniejszego owej epoki wizytatora, ks. Piotra Śliwickiego. Nie będziemy przeprowadzać wyczerpującej paraleli pomiędzy dziejami upadającej Polski a wzrastającego Zgromadzenia, nie będziemy przytaczać dowodów i objawów jednego i drugiego, bo przy dzisiejszym stanie historyografii Zgromadzenia w Polsce jest to na razie jeszcze zupełnie niemożliwą rzeczą. Natomiast zajmiemy się bardzo krótkim stosunkowo okresem czasu, w którym Polska znajduje się już w pełnym rozpędzie do ostatecznej ruiny, a Zgromadzenie jest na najlepszej drodze do wspaniałego rozrostu w siłę i znaczenie. Przedmiot niniejszej pracy to lata 1732—34. W historyi Polski obejmują te lata resztki panowania i śmierć Augusta II., wyuzdanego monarchy, który przykładem publicznego gorszącego zepsucia zaszczepił głęboko zgniliznę moralną dworowi, otoczeniu, a potem narodowi całemu i pierwszy naszkicował plan podziału Polski; obejmują nadto

bezkrólewie po nim i walkę o tron pomiędzy królem-Piastem, Stanisławem Leszczyńskim, a Sasem Augustem III. Z historyi Zgromadzenia w Polsce właśnie to weźmiemy pod uwagę, co z życia ks. Śliwickiego, przyszłego wizytatora (od 1739 r.), odpowiada temu podkładowi dziejów ojczystych. Te 3 lata Polskę zbliżą o jeden olbrzymi krok do upadku, Zgromadzenie zaś o tyleż przybliży się do chwili rozkwitu.

I.

Ks. Śliwicki profesorem.

Rok 1732 zastaje ks. Śliwickiego na katedrze profesora teologii. W tym roku liczy dopiero lat 27, ale już od kilku lat jest profesorem. Filozofii zaczął uczyć jako kleryk, wtedy, kiedy z powodu braku wymaganych lat, czekać musiał na święcenia, prawdopodobnie do 1728 r. Ostał się na katedrze filozofii i po wyświęceniu. Znamy kolegium profesorskie u św. Krzyża z r. 1728. [1]). Śliwicki własną ręką się zapisał jako profesor filozofii. Ks. Michał Brzozowski, lat 30 liczący, wykłada teologię dogmatyczną, 37-letni ks. Jakób Couture teologię moralną, a ks. Piotr Chatillon, mający lat 26, jest również profesorem filozofii. Filozofia miała zatem dwu profesorów równocześnie. Czy to wszyscy? Prawdopodobnie było ich jeszcze więcej, sądząc po tem, że oprócz tego jeszcze przynajmniej teologia moralna miewała w Warszawie po dwu profesorów. Jednakże dla tego roku niepodobna się doszukać innych nauczycieli w współczesnych zapiskach.

Później Śliwicki objął wykład teologii. Na pewno już jest profesorem teologii od września 1730. r. Może już wcześniej, ale nie mamy na to dowodu; od tego zaś czasu z całą pe-

---

[1]) Znamy je z notat przechowywanych w archiwum domu kleparskiego. Tytuł zapiski te noszą następujący: „Liber subiectorum Congr. Miss. in Polonia degentium... coeptus conscribi a. 1728 in ianuario iuxta regulas Visit. Prov. cap. 9. § 2.“. Po części pisany ręką ówczesnego wizytatora ks. Michała Walthera, po części zaś ręką Śliwickiego.

wnością, jak przekonuje jego korespondencya [1]). Jak wybitnie się zaznaczył jako profesor na jednem i na drugiem polu, o tem świadczy nietylko uznanie, którem się cieszył w Zgromadzeniu [2]), ale także podziwu pełne i hołdu wyrażenia, które mieli dlań współcześni, czyto z pośród duchowieństwa czy też z świeckich ludzi nauki [3]). W tymże czasie (r. 1730) zamianowano go prokuratorem prowincyi; zakres jego prac w dwójnasób się rozszerzył, przecież nie rzuca ulubionej nauki; zatrzymuje i nadal katedrę. Zmieniło się jednakże jego otoczenie. Siły nauczycielskie u św. Krzyża odnowiły się. Wogóle zasilano Warszawę profesorami z Paryża. Tak z początku, ale tak też było i nadal i przez cały w. XVIII.; zawsze znaczna część profesorów u św. Krzyża i w seminaryach prowincyi polskiej pochodziła z Francyi. Z bardzo zrozumiałych zresztą powodów. Na tym urzędzie język polski nie był tak niezbędnie potrzebnym, jak na każdym innym. Polskich księży używano więc raczej do posługowania, a francuskich do nauki w seminaryach. Że pominiemy dawniejszych, z ks. Kownackim, naszym wizytatorem przybyło (1710) do Polski 8 misyonarzy, z których pięciu będzie profesorami [4]). Z ks. Baudouinem (1717) znów kilku [5]). Razem z ks. Śliwickim, jak widzieliśmy, urząd nauczycielski u św. Krzyża sprawowało 2 księży francuskich: ks. Chatillon i ks. Couture. Dopieroco, bo we wrześniu 1730 r. nowa pomoc nadeszła z Paryża, która wprowadzi zmianę w kolegium profesorskiem

---

[1]) Również przechowuje się w archiwum domu kleparskiego. Tytuł taki: Kopie listów in negotiis provinciae, zaczęte d. 1. septembris 1730". Przez Śliwickiego pisane. We wszystkiem sumienny i dokładny, okazał się nim i tutaj, bo każdy. a przynajmniej każdy ważniejszy list, przed oddaniem na pocztę tu przepisywał. Ostatni list tu przepisany ma datę 3. marca 1734, wysłany z Gdańska.

[2]) Mémoires — str. 275—301.

[3]) *Roczniki* obydwu Zgr. św. W. a. P. — 1896, str. 111—116.

[4]) *Roczniki.* — 1896. str. 110.

[5]) Ibid.

w Warszawie [1]). Przysłano 5 Misyonarzy, t. j. 2 księży, 2 kleryków i 1 brata. „Jeden z nich, który się nazywa Dubelex, pochodzi ze Sabaudyi, już jest subdyakonem i może znakomicie uczyć filozofii. Drugi, Cossart, rodem z Artois, jest dopiero klerykiem i jeszcze nie uczył się teologii. Z pośród księży zaś pierwszy nazywa się ks. Le Maire (z Bretanii), drugi ks. Du Maillis, cokolwiek przykrego usposobienia, ale wcale rozumny. Ks. Baudouin [2]) zrobił taki plan: ks. Le Maire będzie uczył teologii razem ze mną, ks. Du Maillis i Dubelex zaś będą uczyli filozofii, Cossart ma kończyć swoje studya [3]). Takich to nowych współpracowników na niwie naukowej otrzymał teraz Śliwicki.

Dzięki licznym zapiskom archiwalnym, które odnoszą się do tego okresu, bylibyśmy nawet w stanie dokładnie, imiennie oznaczyć uczniów Śliwickiego. Poprzestaniemy jednak tylko na podaniu ich ilości.

W seminaryum externum było w r. 1732 alumnów 11, z tych czterech na fundacyi, a siedmiu opłacających pensyę. W roku następnym, t. j. 1733, miał słuchaczy 12, mianowicie

---

[1]) Kopie listów... List z 8. września 1730 pisany po francusku do wizytatora ks. Aumont, który wtedy był w podróży wizytacyjnej; znajdował się w Siemiatyczach.

[2]) Jako asystent domu, w zastępstwie nieobecnego ks. Aumont, który był wizytatorem prowincyi a zarazem superyorem domu świętokrzyskiego. — Że ks. Baudouin był w tym właśnie czasie asystentem, na to dowód pomiędzy innymi w „kopiach listów"; jeden list pisany dnia 13. września 1730 do ks. Orzechowskiego do Siemiatycz, drugi z 14. tego samego miesiąca i roku do ks. Mroczka do Chełmna. Był ks. Baudouin równocześnie dyrektorem w seminaryum internum a był nim od września 1724 r. aż do listopada 1735. r. i przyjął przez cały ten czas urzędowania 102 seminarzystów. (Cfr. Cathalogus Seminaristarum Sem. int. a 2. II. 1676). W r. 1732. asystentem domu już jest ks. Brzozowski (Cfr. Kopie listów — z 11. listopada 1732 r.).

[3]) Wyjątek z listu Śliwickiego do ks. Aumont (8. września 1730). Brat, który z nimi przybył, jest doskonałym chirurgiem. Równocześnie przełożony generalny wysłał do Polski 4 Siostry Miłosierdzia.

na pensyi 7, a na fundacyi 5 [1]). — Trudniej to oznaczyć w seminaryum internum. Należałoby zrobić tak: Skoro już dekretem konwentu z r. 1668 było postanowionem [2]), że seminaryum ma trwać 2 lata, studyum filozoficzne 2 lata, a teologiczne 3 lata, przeto obecnie w r. 1732 słuchają wykładów teologii Śliwickiego ci, którzy do seminaryum przyjęci zostali w roku 1726, 1727 i 1728; w roku zaś 1733 uczniami jego będą ci sami z wyjątkiem zeszłorocznego III. kursu teologicznego, (a więc z wyjątkiem tych, których przyjęto w r. 1726, ci bowiem skończywszy studya przepisane, otrzymają święcenia), a z dodatkiem zeszłorocznego II. kursu filozoficznego (a więc z dodatkiem tych, którzy wstąpili do seminaryum w r. 1729). Ci ostatni będą teraz najmłodszym, I. kursem teologii. — Otóż w ten sposób miał Śliwicki w r. 1732 na wszystkich trzech kursach teologicznych 17 kleryków, a w r. 1733 również na wszystkich trzech kursach 9 tylko. Ale za to na przyszły rok już ich będzie miał 25, a jeszcze o rok dalej miałby ich 30 [3]). Ale tych ostatnich już nie będzie uczył [4]).

Było to z pewnemi niedogodnościami połączone, że Śliwicki jako profesor zarazem był i prokuratorem prowincyi. A jedną z nich była ta, że nieraz trzeba było przerywać wykłady. Dwukrotna np. zaszła przerwa w wykładach w r. 1732. Jeździł w komisyi do Mławy, raz w drugiej połowie

---

[1]) Cathalogus sacerdotum et clericorum, qui commorati sunt in seminario Varsaviensi ad s. Crucem ab a. 1675.

[2]) Convent. II. 1668 n. 414.

[3]) Cathalogus seminaristarum seminarii interni Congreg. Miss. Varsaviae, a die 2. Februarii 1676, qua coepit institutio eiusdem seminarii in Polonia, cura et diligentia A. R. D. Eveillard protunc Provinciae Visitatoris et domus Varsaviensis Superioris.

[4]) Obrachunek ten jest zrobiony na podstawie powyżej wymienionego rękopisu (Cathalogus seminaristarum...), a więc tak, jak gdyby wszyscy, którzy wstąpili do seminaryum, rzeczywiście wytrwali w Zgromadzeniu aż do tych lat; żadne wystąpienie czy w czasie seminaryum czy w czasie studyów nie jest uwzględnione.

października, a trwało mu to aż do 5. listopada [1]), drugi raz zaś z końcem tegoż miesiąca. Tym razem układał sobie, że po 15 dniach wróci już do Warszawy, ale przerachował się, bo zeszło mu nadspodziewanie aż do samych świąt Bożego Narodzenia, wrócił dopiero po 23 dniach [2]).

Tych kilka szczegółów dla ustalenia chronologii. Bezsprzecznie jednakże donioślejszą jest rzeczą, stwierdzić, jak i czego uczył, przedstawić jakość tego profesora. A i tu nie będę powtarzał, co już gdzieindziej [3]) powiedziano o rozległości jego wiedzy, o zadziwiającej łatwości w językach, o szczęśliwej reformie w metodzie wykładów, o bystrości umysłu, o zdolnościach wszechstronnych, o szerokości poglądu. Pomijam świadectwa współczesne [4]) o tem wszystkiem; jedno pozostaje do rozpatrzenia: jakie stanowisko zajął Śliwicki jako mąż nauki wobec prądów swej epoki?

Mamy jasną i pełną odpowiedź na to pytanie w jego listach. Nietylko sam przestrzega i trzyma się w wykładach czystej nauki kościelnej, nie dając się zarazić błędami swojego czasu, ale także stara się usilnie o to, aby i inni profesorowie podawali swoim słuchaczom, czy to w seminaryum internum, czy też w seminaryum świeckich kleryków. tylko zdrową wiedzę teologiczną, nieskażoną zgubnymi prądami nurtującymi pomiędzy filozofami i teologami w pierwszej połowie XVIII. w. „Będę miał oko na nowych komprofesorów, żeby nie uczyli w teologii novitates; ale notowałem w konwersacyi, że mają dobre sentymenta, osobliwie *circa Pontificem; anticonstitutionarios abhorrent* jako kalwinów [5]).

---

[1]) Kopia listów... z 11. listopada 1732.

[2]) Ibidem... z 18. listopada 1732 i z 23. grudnia 1732. Są to listy pisywane do ks. Cossarta w Rzymie, który miał młodszego brata w Zgromadzeniu w Warszawie. Ten przybywszy do Polski jako kleryk, tu kończył studya, potem został profesorem u św. Krzyża, wreszcie był dyrektorem seminarii interni przez 2 lata (1739—41).

[3]) *Roczniki* — 1896. str 111—116.

[4]) Ibidem... Mémoires — 275—301.

[5]) Kopie listów... list z 13. września 1730.

Dlaczego pomiędzy temi „novitates“ na pierwszy plan wysunął „anticonstitutionarios“ i dlaczego badał ich przedewszystkiem w „sentymentach circa Pontificem“?

Były to kwestye istotnie najbardziej aktualne, pytania, które w tej epoce wszystkie umysły poruszały; wszyscy sobie zadawali pytania, na które ze wszystkich stron dawano odpowiedzi, ale odpowiedzi najsprzeczniejsze. To w dziejach Kościoła czasy galikanizmu i Quesnell'ianizmu, czasy błędów jansenistycznych, epoka najprzykszejszych trudności dla Kościoła, przeddzień najstraszniejszych upokorzeń Głowy jego. Wprawdzie już rok 1682 jest datą słynnych „4 artykułów“ jako „declaratio cleri gallicani“, ale słaby wobec dworu Bossuet napisał na nalegania Ludwika XIV. „obronę deklaracyi kleru galikańskiego“, która już długo po jego śmierci († 1704) ukazała się w druku w r. 1730. Świetne imię Bossueta sprawiło, że galikanizm nagle się wzmógł i przetrwał wszystkie burze, nawet wielką rewolucyę, że znalazł i zagranicą zwolenników, a Bossuet wbrew własnej woli uważany był za ojca jego. Cztery artykuły deklaracyi i cały zresztą galikanizm uszczuplały w haniebny sposób władzę papieską na rzecz władzy świeckiej i wręcz papieżowi odmawiają nieomylności. Zasypano Francyę dziełami teologów i prawników, którzy olśnieni blaskiem dworu Ludwika XIV. wywyższali jego władzę nad władzę papieską i klerowi francuskiemu przyznawali wszystkie uroszczenia wobec Stolicy Apostolskiej.

Równocześnie ogromnej wrzawy narobił jansenizm, na którego czele stanął obecnie Quesnell. Dawne błędy jansenistyczne już potępione odświeżył i do nich nowe dodał. Zyskał wielu biskupów dla swych zapatrywań, między nimi nawet arcybiskupa paryskiego Noailles. Opozycya przeciw Stolicy Apost. rosła na korzyść jansenistów. Liczne szeregi kleru francuskiego, belgijskiego i holenderskiego stały już po ich stronie. Z rozporządzeń papieskich szydzono. Cokolwiek jansenizmu należało do dobrego tonu, nawet u najlepszych. Wydał Arnauld książki, które przez Klemensa IX. pod cenzurami były zakazane; pomimo to już w rok potem 29 bi-

skupów francuskich śmiało je zaaprobować. Napisał Quesnell „uwagi moralne nad ewangeliami“, potępił je Klemens X., a Quesnell przeciwko temu zarządzeniu Stolicy Apost. założył gwałtowny protest. Słynny „cas de conscience“ rozwiązany w duchu jansenistycznym i podpisany przez 40 uczonych doczekał się kategorycznej proskrypcyi Klemensa XI., a opozycya wybuchła jawnym buntem przeciwko Rzymowi. Klemens XI. nie mógł już dłużej na to patrzeć, jak herezya i schizma rosły w siłę, wydał w r. 1705 konstytucyę „Vineam Domini“, a w r. 1713 drugą „Unigenitus“, ale teraz też pokazało się, jak daleko już zdobycze herezyi postąpiły, tak długo wzbraniali się przed wolą papieża, że konstytucyę z r. 1705 zaakceptowali dopiero w r. 1711 i to z różnemi zastrzeżeniami, a bullę z 1713 przyjęli dopiero po półrocznych sporach podczas gdy 15 biskupów wcale nie podpisało jej akceptacyi; król nakazywał parlamentowi przyjęcie jej, ale i ten podpisując zastrzegał piśmiennie pełnią praw galikańskich. Pomiędzy 15 biskupami oponentami znalazł się i Noailles, arcybiskup paryski. Prawie każdy zakon, każda kongregacya była herezyą skażona mniej lub więcej, a już oratoryanie razem z przełożonym gener. de la Tour i kongregacya Maurynów najzupełniej przesiąkły jansenizmem; nawet zakonnice pokazywały tyle zaciekłości sekciarskiej, że wszystkie te, które mieszkały w Port-Royal, trzeba było porozmieszczać po różnych klasztorach całej Francyi, a budynek ich z ziemią zrównać. Przeciwko bulli „Unigenitus“ założyła opozycya apelacyę do soboru. Papież Innocenty XIII. i tę potępił 1722 r. Następowały czasy stanowczej decyzyi w tę lub ową stronę. Kameduli przyjęli bullę w r. 1727, a trzynastu profesów, którzy podpisu dać nie chcieli, wygnano. Z zakonu kartuzów 26 zakonników uciekło do Hollandyi z tego samego powodu, a z pośród cystersów piętnastu umknęło do Utrechtu, gdzie założyli sobie eldorado herezyarchów. Sam kardynał Noailles, arcybiskup paryski, nawrócił się dopiero na łożu śmierci w r. 1729 i teraz też dopiero dał jezuitom jurysdykcyę, której im przez 13 lat odmawiał w całej dyecezyi, dlatego, że ci za-

cięcie zwalczali sekciarstwo. W r. 1730 król i Sorbona oświadczyli się wreszcie z całą stanowczością za konstytucyą papieską. Ale heretycy uciekli się do nowego środka, do cudów, które wszakże komisye nowego arcybiskupa w r. 1731 i 1734 zdemaskowały.

Cóż dziwnego, że wobec tego i władza świecka coraz mniej liczyła się z wolą Stolicy Apostolskiej, że teoryami galikańskiemi i przykładem oporu jansenistycznego przejęli się ci, co stali u steru rządów państwowych, że ziarno zasiane przez teologów zaczynało kiełkować u prawników regalistów. Już dawniej domagał się król i parlament, żeby wszystkie rozporządzenia papieskie przed ogłoszeniem we Francyi najpierw im były przedkładane. Rozpoczęło się za Ludwika XIV. od t. zw. regaliów, t. j. praw, na mocy których król po śmierci danego biskupa pobierał dochody z biskupstwa, przez cały czas wakansu przez swoich urzędników sprawował administracyę dóbr, a wakans tak długo trwał, dopóki nowy biskup nie złożył przysięgi na wierność królowi. To już było i dawniej we Francyi, ale tylko do niektórych dyecezyi się odnosiło; teraz zaś król rozszerzył swoje pretensye do wszyst- 60 biskupstw rozległego swojego państwa. Nadaremnie protestował Innocenty XI. A parlament domagał się coraz bezwzględniej rewizyi nietylko każdej bulli papieskiej, ale i rozporządzeń biskupich, a nawet ich listów pasterskich, 1731 r. To też kiedy Klemens XII. potępił odszczepieńcze zachowawanie się Colberta, biskupa z Montpellier, parlament dekret ten unieważnił i postanowił, że wszelkie bulle i brewia Stolicy św. otrzymują moc obowiązującą dopiero po sankcyi królewskiej i parlamentu. W r. 1733 wdał się nawet parlament w takie rzeczy, jak ułożenie planu nauk teolog. dla seminaryów. Zgromadzenie nasze również dobrze odczuło niepowołaną ingerencyę jego, bo kiedy wyszła (1736) bulla kanonizacyjna św. Wincentego. parlament nie pozwolił jej ogłaszać, bo nie podobały mu się w niej pochwały dla świętego za jego gorliwość przeciwko jansenizmowi i trzeba było rok cały czekać z uroczystościami kanonizacyjnemi. To samo spo-

tykało Stolicę Apostolską i w innych krajach. Najlżejszy pozór wystarczał, aby jej wyrządzić najdotkliwsze zniewagi. Dwory katolickie ze wzgardą i lekceważeniem wyrzucały nuncyuszów papieskich; tak postąpił już dwór wiedeński, tak dwory w Turynie, w Barcelonie, w Madrycie, w Neapolu. Wiernym biskupom i przełożonym zakonnym na wszelki sposób utrudniano porozumiewanie się z Rzymem. Wszystkie dwory jawnie dążyły do absolutyzmu wobec Kościoła, wszędzie coraz więcej powstawało t. zw. regalistów, prawników dowodzących wyższości władzy książęcej nad kościelną [1]).

Dygresya ta była nam potrzebną nietylko dla naszkicowania tła bojów, które współcześnie staczać musiała nauka objawiona z wrogimi prądami myśli ludzkiej, ale i dla zrozumienia stanowiska, które Śliwicki zajął wobec nich. Niepodobna byłoby ocenić Śliwickiego jako profesora, jako męża nauki, gdybyśmy przedewszystkiem nie zdali sobie sprawy z jego stosunku do błędów, które prawie powszechnie bałamuciły najbystrzejsze nawet umysły w pierwszej połowie XVIII. w. Patrzał dotąd na smutne pontyfikaty Klemensa XI. (1700 do 1721), Innocentego XIII. (1721—24), Benedykta XIII. (1724 do 1730), Klemensa XII. (1730—40). Był świadkiem niesłychanych upokorzeń papiestwa, czy to przez Ludwika XIV., czy przez Filipa V. hiszpańskiego, cesarza Józefa I. i Amadeusza II. Sabaudzkiego. Wiedział o tem, jak brutalnie zabierano miasta państwu kościelnemu. Słyszał o jednym papieżu (Klemensie XI.) umierającym ze strapień nad poniżeniem Kościoła, o drugim (Benedykcie XIII.) ze łzami przyjmującym zhańbioną tyarę. Dobrze wiedział o tem, co działo się we Francyi i w całej Europie, znał teorye nowe i ów szał nowatorstwa, który pragnął przewrócić dotychczasowe przekonanie i naukę o biskupie rzymskim, wiadomem mu było, że bardzo wielu najwybitniejszych uczonych zarówno teologów jak i prawników, liczne uniwersytety, wiele zakonów i zgro-

---

[1]) Na podstawie Hergenröthera—Kirschengeschichte t. III. 413—511, i Rohrbachera — Hist. de l'Eglise cath. t. XI. 171—240.

madzeń, mnóstwo biskupów zdanie to już podziela. Niepodobna, aby kwestye tak namiętnie agitowane w owych czasach, nie przesunęły się przez duszę tego, który czuwał nad prawowiernością myśli i nauki alumnów u św. Krzyża. Nie zachwiał się jednak ani na chwilę w wierności dla starych zapatrywań, nie tracił równowagi i trzeźwości sądu wśród ogólnego zamętu, nie dał się porwać burzy. Wobec takich prądów, silnie jak nigdy dotąd, podkopujących powagę Stolicy Apost., Śliwicki z całą stanowczością umie podtrzymać czystą, katolicką naukę o prymacie i taką podaje swym słuchaczom w wykładach teologii.

Z taką głęboką siłą przekonania przylgnął do niej, że kiedy z Francyi przybywają nowi profesorowie [1]), to pierwsza rzecz, na którą u nich zwraca uwagę, to „sentymenta circa Pontificem“. Z Francyi przychodzą, z Paryża, z tego gniazda schizmy galikańskiej i herezyi jansenistycznej, boi się więc, czy przypadkiem nie przesiąkli zarazą sekciarstwa. Bojaźń tę zresztą podzielał i ks. Rink, superyor seminaryum w Łowiczu. Po drodze do Warszawy bowiem, wstąpili do niego całkiem nadspodziewanie nasi wychodźcy francuscy. A list, który doń pisze Śliwicki, jest właśnie odpowiedzią na pytania w tej materyi poczynione. Śliwicki byłby zdecydowany nie dopuścić do wykładów, do jakiegokolwiek wpływu na kleryków warszawskich, do styczności z nimi, gdyby choć najlżejszy ślad tych teoryi u nich zauważył. Ale z radością konstatuje, że ani cienia nowości przewrotnych. Zresztą nie było tak dalece czego się obawiać. Bo jakkolwiek przybywali z Paryża, to przybywali przecież z pod oka i opieki ks. Jana Bonnet, który jako przełożony generalny (1711—35) czujnie stał na straży, by duch odszczepieństwa i niewiary nie wcisnął się do Zgromadzenia, który czynił wszystko, by prawdzie zapewnić tryumf nad błędem, którego chlubą i zasługą historya [2]) nazywa energiczną i zwycięzką walką z herezyą. Płonne zatem

---

[1]) Kopie listów... 8. września 1730.

[2]) Hergenröther, Handbuch d. Kirchengeschichte III. str. 486.

były jego obawy, jakto wkrótce sam się miał o tem przekonać [1]).

Niechże się jednak nie zdaje, że tego rodzaju teorye mogłyby przyjść do św. Krzyża tylko z zagranicy, z Francyi. Zarazki ich unosiły się w całej atmosferze europejskiej, a już bynajmniej nie brakowało ich u nas, w Polsce. To, co na Zachodzie nazywało się galikanizmem, co w ustach dworskich prawników oznaczano regalizmem, co w środkowej Europie przybierze ostre formy febronianizmu, to wszystko i u nas było. Może nie rozlało się tak szeroko jak gdzieindziej, może nie siągnęło tak głęboko, jak we Francyi, nie było ujęte w tak wyraźnie sformułowane tezy, ale było, istniało. Może wogóle mniej było w teoryi, ale w praktyce, w życiu grasowało z żywiołową siłą. Przecież nuncyusze apostolscy: Santini, Pauluzzi, Durini, ciężkie musieli walki staczać to z rządem Rzeczypospolitej, to z niektórymi biskupami. Prymas Teodor Potocki w otwartym, zawziętym antagoniźmie żył z nuncyuszem [2]). I z papieża nie wiele sobie robił, bo gdy ten ustępstwami chcąc go ułagodzić, ofiarował mu kapelusz kardynalski, prymas z lekceważeniem odmówił jego przyjęcia [3]). Santini przedwczesną umarł śmiercią znękany, że nie mógł się doczekać sprawiedliwości za zniewagi, których w Polsce doznał [4]). Były we Francyi „regalia“, były i w Polsce, choć się tak nie nazywały. Pretensye Augusta II. sięgały nietylko do obsadzania biskupstw [5]) ale i beneficyów zakonnych [6]), i zdarzało się, że było dwu przełożonych w klasztorach [7]), jeden mianowany przez króla, drugi obrany le-

---

[1]) Nie przeszła ta burza bez śladu nad Zgromadzeniem; i tu znalazła ofiary. Wystarczy zajrzeć do dziejów konwentów naszych, aby o tem się przekonać. (Collectio compl. decretorum nr. 25, 26, 374 z r. 1724).

[2]) J. Bartoszewicz. — Szkice z czasów saskich. Kraków 1880 str. 227.

[3]) J. Bartoszewicz. — Prymasi i arcybiskupi (Teodor Potocki).

[4]) J. Bartoszewicz. — Szkice z czasów saskich. Kraków 1880 str. 313.

[5]) ibidem str. 296, 297.

[6]) ibid.

[7]) ibid.

galnie przez władzę zakonną, ale wobec palestrantów naszych, owianych duchem regalistycznym, ten drugi przegrywał sprawę. Stanął nuncyusz na stanowisku prawa kanonicznego, tak jak był zobowiązany, to natychmiast burza powstawała w kraju. Sejm hałaśliwy z r. 1726 domagał się gwałtownie wyrzucenia nuncyusza z kraju [1]), zerwania raz na zawsze z nuncyaturą, odwołując się na to, że mają prymasa, a innego zwierzchnika kościelnego z ramienia papieskiego nie potrzebują. Kazał w uchwały sejmowe, w „volumina legum“ zarejestrować uchwałę, w najwyższym stopniu ubliżającą papieżowi [2]), taką, którejby się parlament paryski nawet powstydził. Wojewodę lubelskiego Tarłę [3]) wysyłano od sejmu i narodu do Rzymu z tak zuchwałemi instrukcyami, z jakiemi wobec Głowy Kościoła stawali chyba tylko posłowie Ludwika XIV. A jeżeli stolica Apostolska przykremi ofiarami chcąc okupić pokój, musiała zawierać konkordaty z państwami, by resztki swych praw poratować, zmuszoną też była i wobec Polski [4]) do tego poniżającego układu [5]) wybierając z dwojga złego, to, co było mniejszem złem.

Tak działo się w Polsce, tak mówiono na dworze królewskim i po palestrach warszawskich, tak dowodzono i uchwalano na sejmach i sejmikach, takie posłuchy dochodziły z najbliższego otoczenia, niemal z poza ściany do domu świętokrzyskiego. Wiedział jednak Śliwicki, co o tem sądzić.

Jak za granicą, tak i w Polsce obiegały książki i broszury, przeważnie anominowe, które stawiały propozycye heretyckie. Czasem wydawano je pod obcemi nazwiskami, aby mniej odrazy budziły, a do łatwowiernych prędzej przystęp znalazły. Śliwicki więc, o ile ma wątpliwości pewne o tej lub owej książce, zasięga wiadomości o niej skądinąd. Tak

---

[1]) Bartoszewicz. — Szkice. — str. 303.

[2]) ibidem.

[3]) ibid.

[4]) Hergenröther-Handbuch d. Kirchengeschichte. 1886 t. III. str. 440.

[5]) Nussi-Convent p. 64—69.

np. puszczono w obieg na pozor niewinną rozprawę, której autorowie podszyli się pod nazwiska dwu doktorów z Turynu. Księdzu Dubelex, który przecież był sabaudczykiem, rzecz cała wydawała się podejrzaną. To też pisze Śliwicki po informacye do Rzymu do ks. Cossarta [1]) i z wdzięcznością je przyjmuje. Kiedy sprowadza nowe książki dla siebie czy do biblioteki kleryków, również pilnie dowiaduje się o nich. Dopytuje się np. o teologię dogmatyczną O. Graveson, dominikanina francuskiego w Rzymie, którego historyę kościelną już mają u św. Krzyża [2]). Ale za najważniejszą podstawę do rozstrzygnięcia wątpliwości i do oryentowania się wśród powodzi dzieł, broszur i rozpraw, wśród nieprzejrzanej ilości coraz to nowych odcieni sentencyi, uważa słusznie decyzye Stolicy Apostolskiej, które we formie brewiów bardzo często wydawanych od r. 1705, tłómaczyły i objaśniały konstytucye „Vineam Domini“ i „Unigenitus“. To też gdzie tylko może, stara się je nabyć, sprowadza je dla studentów. Przechował się list z Gdańska datowany, (z czasów oblężenia przez moskiewskie wojska), w którym dziękuje prokuratorowi paryskiemu za 7 brewiów przesłanych dla studentów teologii [3]).

Zawsze to tensam wierny syn Kościoła, który całą duszą przywiązany jest do Stolicy św. pomimo bolesnych prób, jakie w jego oczach przechodzi, który według własnego wyrażenia, pilnie wystrzega się „novitates“, czuwa nad tem, aby i inni teżsame mieli „sentymenta, a osobliwie circa Pontificem“, i cieszy się, gdy „anticonstitutionarios abhorrent jako kalwinów“.

Kiedy kończy się zawód nauczycielski ks. Śliwickiego? W r. 1732 niewątpliwie jeszcze wykłada. W pierwszej połowie r. 1733 także jeszcze; w każdym razie aż do zakończe-

---

[1]) Kopie listów... z 18. grudnia 1731.

[2]) Kopie listów.. z 23. stycznia 1732.

[3]) ibid. — z 3. marca 1734.

nia roku szkolnego [1]). Czy rozpoczynał jeszcze rok szkolny 1733/34, nie wiemy, ale prawdopodobnie tak. Wypadki polityczne o parę tygodni późniejsze miały mu wprawdzie przerwać wykłady w październiku 1733 r., ale na razie, we wrześniu były jeszcze całkiem nieprzewidziane; nicby więc w tem nie było dziwnego, gdyby zwykłym trybem był rozpoczął w tym miesiącu rok szkolny. Ale też tylko tyle. Tylko mógł rozpocząć. Z końcem tego bowiem roku rozpoczyna się jego życie tułacze. Razem z królem Stanisławem Leszczyńskim musi opuścić Warszawę.

Nie wrócił też już i później na to stanowisko; bo połowę roku 1734 spędził w Gdańsku [2]) u boku króla wygnanego. Przez resztę r. 1734 i część 1735 tuła się w dzisiejszej Galicyi. Wraca wprawdzie potem do Warszawy, ale po to, aby po ks. Grabickim [3]) objąć ambonę u św. Krzyża jako stały kaznodzieja (przez lata 1735—36). Dwa lata następne, 1737 i 1738, to czas pobytu jego zagranicą we Francyi i we Włoszech, a w r. 1739 umiera ks. Aumont, po którym Śliwicki zostaje wizytatorem. Tak więc od ucieczki do Gdańska aż do tej pory (od końca r. 1733 aż do 1740) wykluczoną jest możliwość wykładania filozofii czy teologii.

* * *

Może się wydawać, że zbytecznie rozszerzyliśmy się nad ortodoksyą Śliwickiego. Stało się to jednak z tej przyczyny, że w drugiej połowie XVIII. w. ciężkie zarzuty spadły nań

---

[1]) Skoro tylko rok szkolny się skończył, Śliwicki zaraz wybrał się w daleką podróż do Siemiatycz w sprawach prowincyi. (Cfr. list z 30. czerwca 1733 r.).

[2]) Kopie listów... z 2. i 3. marca 1734 r., a dalszym dowodem to kazania gdańskie: 1. na niedzielę XXII. po Świątkach w r. 1733, 2 w dzień Trzech Króli, 3. w niedzielę zapustną, 4. w trzecie święto Wielkanocne.

[3]) Ów „Liber subiectorum Congr. Miss." spisany przez wizytatora Walthera ma ks. Grabickiego zapisanego jako „concionator ordinarius;" przedtem był on dyrektorem seminarii interni bezpośrednio przed ks. Baudouinem.

z ust Duriniego, powtórzone przez Theinera [1]. To też, niechby to, co tu o nim powiedziano, było jednym przynajmniej dowodem, jak bezpodstawnym, niesprawiedliwym i krzywdzącym jest taki sąd o nim.

[1] Aug. Theiner. — Histoire du pontificat de Clément XIV. d'après des documents inedits des archives secr. du Vatican. Paris 1852 t. I. str. 441.

Ks. W. Szymbor.

Księża Misyonarze we Wiedniu.

Gdym już główny mój cel osiągnął, chciałbym teraz kilka słów o tutejszych stosunkach naszego Zgromadzenia powiedzieć. — Kraków opuściłem 9. czerwca r. z. Zamieszkałem w najstarszym domu wiedeńskim, na Kaiserstrasse. We Wiedniu przypatrzyłem się sławnemu pochodowi jubileuszowemu w dniu 12. czerwca, a potem po czterotygodniowej przerwie dla kuracyi w Karlsbadzie, w pełni sił i zdrowia, oddałem się pracy naukowej, przerywanej tylko jaką przechadzką lub załatwianiem interesów w różnych urzędach miejscowych. Wolny zresztą pozatem od wszelkich innych obowiązków, poza nauką, prowadziłem więc życie ciche i wytężone ku jednemu celowi, i dał Bóg, żem go osiągnął. — W ciągu tej pracy nie mogłem się dużo zajmować dziełami powołania, mając za zadanie nauce poświęcić czas cały, ale przecież w ciągu całego roku pobytu w stolicy niejedno zauważyłem, i temi to spostrzeżeniami tu się dzielę z Konfratrami.

Prowincya austryacka jest jedną z młodszych. Jej początki sięgają r. 1852. Wprawdzie już w XVIII. wieku działali we Wiedniu Misyonarze, i to polscy, ale ich działalność nie trwała długo, bo zaledwie pięć lat. Mianowicie sławny arcybiskup wiedeński kard. Krzysztof Antoni Migazzi wezwał Księży Misyonarzy polskich do objęcia seminaryum wiedeńskiego w r. 1760, a w dwa laty później powierzył im seminaryum duchowne dyecezyi Waitzen (Varcz) na Węgrzech, gdzie poprzednio był biskupem, a potem długo jeszcze administratorem, będąc już arcybiskupem wiedeńskim. Taksamo prymas węgierski powierzył im seminaryum w Tyrnawie w r. 1762. Ustawy józefińskie położyły koniec ich działalności. Dopiero więc w r. 1852 osiedli Misyonarze w Austryi. W tym bowiem czasie trzej zacni panowie, hr. Karol d'Avernas oraz

hr. Klemens i Ferdynand Brandisowie myśleli o ufundowaniu jakiego domu misyjnego w Austryi. Pragnęli bowiem dobrodziejstwo misyi dla swego kraju pozyskać. Nie mieli jednak bliższego planu, komu ten dom oddać. Ks. Marek Glaser, proboszcz z Marburga, chciał pozyskać na ten cel OO. Redemptorzystów z Alt-Ötting w Bawaryi, lecz mu się to nie powiodło. Redemptorzyści nie przyjęli fundacyi z powodu braku dostatecznej dotacyi. Wtedy subdyrektor seminaryum duchownego w Gracu ks. Jan Klaischer podał inny plan, radził powołać Ks. Ks. Misyonarzy, a to w ten sposób, by kilku kapłanów miejscowych udało się do Paryża, wstąpiło do Zgromadzenia i by ci nowi Misyonarze, wróciwszy, zaczęli swą działalność w Austryi. Sam stanął jako pierwszy kandydat. Propozycyę przyjęto. Z nim udali się do Paryża i tam wstąpili do Zgromadzenia naszego ks. Jakób Horvat i ks. Antoni Zohar. Pod jesień r. 1852 wrócili do Gracu już jako Misyonarze. Ks. Klaischer miał spełniać urząd dyrektora Sióstr Miłosierdzia. — Siostry Miłosierdzia w Gracu nie były zrazu połączone z domem Macierzystym w Paryżu, lecz należały do niezależnej kongregacyi, która powstała w Niemczech, a w r. 1835 zatwierdzoną została przez Grzegorza XVI. W r. 1841 przybyły Siostry te z Monachium, wezwane przez ks. Romana Sebastyana Zängerle, biskupa z Seckau. Po kilkuletnim pobycie w Gracu nawiązały stosunki z Siostrami lwowskiemi. Od nich otrzymały egzemplarz reguł i wzór ubioru Sióstr, będących w łączności z domem centralnym w Paryżu. To było początkiem starań o zjednoczenie, które właśnie w r. 1851 doszło do skutku. Pierwszym ich dyrektorem mianowano więc ks. Klaischer.

Pozwolenie ministeryalne na osiedlenie się w Austryi wyrobił Misyonarzom ówczesny biskup w Gracu ks. Othmar von Rauscher, mimo, że zrazu nie chciał ich przyjąć do swej dyecezyi z tego powodu, że Zgromadzenie Księży Misyonarzy jest pochodzenia francuskiego i ma swego generalnego przełożonego stale w Paryżu. Zato przyjął ich zaraz książę-biskup lawantyjski, Antoni Marcin Slomszek. Gdy więc ci

nowi Misyonarze powrócili w sierpniu 1852 r. z Paryża do Gracu, w towarzystwie księdza Hirl, doświadczonego Misyonarza z Kolonii, stanęli naprzód w domu centralnym Sióstr Miłosierdzia, a 7. listopada udali się na pierwsze stanowisko do Cilli. Wyżej wspomniany ks. Marek Glaser wyjednał im u księcia-biskupa Slomszeka dom i kościół św. Józefa, niedaleko Cilli leżący, a zbudowany w XVIII. wieku *ex voto*, z powodu zarazy. Na potrzebne adaptacye dał im książę-biskup 1000 guldenów, hr. Ferdynand Brandis 500, a cesarz 4 tysiące. W r. 1860 został dom ten inkorporowany do Zgromadzenia, a oddzielony od parafii, do której dotąd należał. Ks. Klaischer zamieszkał razem z innymi konfratrami w Cilli, a tylko raz na miesiąc dojeżdżał do Gracu, by spełniać obowiązki przywiązane do urzędu dyrektora Sióstr Miłosierdzia. Lecz zmarł on już w r. 1853, a jego miejsce, jako dyrektor Sióstr, zajął ks. Schlick, który osiadł w Gracu w domku położonym w sąsiedztwie Sióstr, wynajętym dla niego. To był początek domu centralnego Księży Misyonarzy. W tym domu mieszkał ks. Schlick z ks. Touvre, który niedługo po nim przybył z Francyi. Poświęcali się obaj kierownictwu duchownemu Sióstr Miłosierdzia, mówili kazania, dawali rekolekcye, słuchali spowiedzi, starali się o tłomaczenie na język niemiecki reguł Sióstr Miłosierdzia i medytacyi, usiłując tę nową gałąź Sióstr ugruntować w duchu św. Wincentego. Ks. Schlick, człowiek temperamentu ognistego i żądny pracy, zabrał się wnet do budowy kościoła; ukończył go w r. 1857, a w r. 1860 zaczął budować kościół dla Księży Misyonarzy. Ks. Generał Étienne przybył w r. 1853 z księdzem Schlickiem do Gracu, by zbadać warunki rozwoju Zgromadzenia. Zamianował go wizytatorem Księży Misyonarzy i dyrektorem Sióstr. Gdy w r. 1857 przybył ks. Étienne po raz drugi do Gracu, wtedy mieli już Ks. Ks. Misyonarze gotowy dom centralny, a w czasie trzeciej wizyty w r. 1860 oglądał nowo zbudowany kościół Sióstr Miłosierdzia wystawiony w stylu romańskim. Czwarty raz zawitał ks. Generał Étienne do Gracu w r. 1863, wracając z Konstantynopola w towa-

rzystwie ks. Eugeniusza Bore. Wtedy widział nasz nowy kościół i mógł się nacieszyć widokiem tłumów spieszących na nabożeństwa przez konfratrów odprawiane. Po raz ostatni zawitał on do Gracu w r. 1865, gdy z ks. Wilhelmem Müngersdorf, dotychczasowym wizytatorem kolońskim, przybył, by go zamianować wizytatorem prowincyi austryackiej po ks. Schlicku, który zmarł w maju tegoż roku. — Ks. Generał przyłączył nasz dom stradomski, który sam jeden pozostał w zaborze austryackim i miał utrudnioną komunikacyę z wizytatorem prowincyi warszawskiej, do nowo powstałej prowincyi austryackiej. Wtedy to także był ks. Klinger, superyor stradomski, z ks. Gołaszewskim na konwencie prowincyonalnym we Wiedniu i został wybrany deputatem na konwent do Paryża. Lecz gdy w roku 1866 powstała nasza prowincya krakowska, przyłączono Stradom do niej.

W r. 1853 rząd założył dom poprawczy dla kobiet we Wiener Neudorf pod Mödlingem. Zarząd tego zakładu powierzył Siostrom Dobrego Pasterza (Gute Hirtinnen), a opiekę duchowną zakładu zdał kard. Rauscher, naówczas już arcybiskup wiedeński, Ks. Ks. Misyonarzom, 24. lipca 1854 r. Ks. Richen został tam pierwszym superyorem. Każdorazowy przełożony Ks. Ks. Misyonarzy był zarazem przełożonym Sióstr Dobrego Pasterza. Konfratrzy pracowali tu nad nawróceniem i ugruntowaniem w cnocie pokutnic przez katechizacyę, kazania, rekolekcye i przez zakładanie bractwa. Nadto pomagali duchowieństwu parafialnemu w pracy. Dom ten opuścili Misyonarze w r. 1904, z powodu różnych trudności, lecz głównie dla braku kapłanów.

Niedługo po objęciu domu w Neudorf wyraził kardynał Rauscher życzenie, by Ks. Ks. Misyonarze osiedli we Wiedniu. Wkrótce nadarzyła się sposobność urzeczywistnienia tego życzenia. Dr. Schick von Tavera, bardzo zacny i religijny lekarz, ofiarował się Ks. Ks. Misyonarzom ze sprzedażą swego domu z ogrodem leżącego przy błoniach Schmelz zwanych, na bardzo dobrych warunkach. Kontrakt kupna podpisano w październiku 1855 r., a 4. grudnia tegoż roku

weszli Konfratrzy nasi w posiadanie tego domu. Superyorem został ks. Richen z Neudorfu. Urządzono zaraz prowizoryczną kaplicę domową, gdzie zaczęli konfratrzy działalność kapłańską, głównie w konfesyonale. Lecz już w maju 1857 r. odprzedali tę własność kolei zachodniej (Westbahn), którą w tym czasie zbudowano. Wskutek tego mieszkańcy dzielnicy Fünfhaus zostali odcięci od naszej kaplicy i musieliby daleko obchodzić, chcąc uczestniczyć w nabożeństwach u Księży Misyonarzy. Zaczęli więc czynić starania, by rzucono most ponad koleją i w ten sposób ułatwiono przejście do kaplicy. Ponieważ zarząd kolei nie chciał budować mostu, więc by się uwolnić od nalegań, odkupił dom i kaplicę od Ks. Ks. Misyonarzy. Później mimo, że Misyonarze opuścili już to stanowisko, zbudowano tam most. Misyonarze tymczasem zakupili inny dom już w obrębie miasta leżący. Do ołtarza w kaplicy tego nowego domu podarował nuncyusz papieski Viale-Prelà śliczny obraz Niepokalanej Dziewicy. Tłumy wiernych spieszyły na kazania, nabożeństwa i do spowiedzi. Nadto arcybiskup zlecił konfratrom misye we wielu parafiach. Widząc ogromny rozwój działalności konfratrów wiedeńskich, umyślił ks. wizytator Schlick wybudować kościół obszerny, odpowiedni do potrzeb miejscowych. Plan wykonał architekt Fryderyk Schmidt, późniejszy twórca nowego ratusza wiedeńskiego. Dnia 27. września 1860 r. położył kardynał Rauscher kamień węgielny. Budowa szła raźno tak, że już 24 października 1862 r. mógł dokonać konsekracyi tego ślicznego kościoła wystawionego pod wezwaniem Niepokalanej Dziewicy. Kościół jest w stylu gotyckim, ma trzy nawy i krzyż poprzeczny. Nawy boczne są mało co niższe od głównej, oddzielone smukłymi, okrągłymi filarami z kamienia twardego, muszlowego. Na skrzyżowaniu nawy głównej z poprzeczną są potężne kolumny z poczwórnych okrągłych filarów, na których spoczywa wieża główna. Kościół przedstawia prześliczną przejrzystą halę. Architekt Schmidt wyrobił sobie tą budową imię znakomitego architekta. Ołtarz główny wykonany według rysunków Schmidta. Z pomiędzy

czterech bocznych ołtarzy wyróżnia się ołtarz Męki Pańskiej; jest w nim krucyfiks wielkiej wartości artystycznej, figura Chrystusa jest tak doskonale wykonaną, że wzbudza podziwienie znawców sztuki. Krucyfiks ten jest dziełem nieznanego rzeźbiarza. Ks. wizytator Schlick kupił go za 5 tysięcy guldenów od mieszczanina Jakóba Bergera. Potem chciano go nabyć dla Votivkirche, dając zań 8 tysięcy guldenów, lecz konfratrzy nie chcieli go się pozbyć. Jakiś anglik prosił, by mu choć jedno ramię dano, ofiarując za to 3 tysiące guldenów i przyrzekając, że zapłaci koszta nowego ramienia w miejsce dawnego. Ale i jemu odmówiono. — Na budowę kościoła dało miasto 10 tysięcy guldenów, inni ofiarodawcy znaleźli się we wielkiej liczbie, tak, że wkrótce dokonano dzieła. W świątyni może się pomieścić około 5 tysięcy ludzi. W dniu konsekracyi zaczęto w nowym kościele czternastodniową misyę pod przewodnictwem ks. Wilhelma Müngersdorfa, naówczas jeszcze wizytatora prowincyi kolońskiej. W czerwcu 1904 r. zaczęto burzyć stary dom, który nie odpowiadał już warunkom zdrowotnym w zupełności, a głównie dlatego, że miasto żądało odsłonięcia kościoła. Dotąd bowiem dom zasłaniał go niemal zupełnie. Miasto dało znaczną sumę na zburzenie dawnego domu. Przy tej okazyi uregulowano granice ogrodu i wystawiono dwa domy: jeden dla Zgromadzenia, drugi czynszowy, zostawiając w środku plac przed kościołem. Plac ten oddzielony od ulicy żelaznym parkanem i bramą jest częścią wybrukowany, a częścią zamieniony na skwer; utrzymaniem jego zajmuje się ogrodnictwo miejskie za małą opłatą roczną ze strony Zgromadzenia.

Znacznie później powstał drugi dom Zgromadzenia we Wiedniu w dzielnicy Währing, za rządów ks. Müngersdorfa. Zbudowano w tych stronach szkołę ludową, a bractwo Trójcy Przenajśw. założyło w jej sąsiedztwie zakład dla nieuleczalnych chorych, t. zw. Haus der Barmherzigkeit. Oba te zakłady powierzono Siostrom Miłosierdzia. W roku 1875 zaczęli Misyonarze budować dla siebie kościół i dom. Kardynał Rauscher dał na ten cel znaczne sumy, a byłby da-

wał jeszcze więcej, gdyby był żył dłużej. Wśród ofiarodawców widzimy cesarza, cesarzową, arcyksiążąt Rudolfa, Karola Ludwika, Ludwika Wiktora i Franciszka Karola. Jakaś księżna fundowała wielki ołtarz. Znaleźli się hojni ofiarodawcy, którzy zapłacili za ołtarze, dzwony, organ, witraże, balaski marmurowe. Przy tak hojnych ofiarach zdołano prędko skończyć budowę. Kardynał Kutschker, następca kard. Rauschera, konsekrował ten kościół 20. października 1878 r. Kościół jest w stylu gotyckim zbudowany o dwóch wieżach z frontu. Plany robił architekt Schmidt. Działalność swą rozciągają konfratrzy tutejsi na dość znaczną przestrzeń; albowiem oprócz wydatnej pracy w kościele mają nadto kilka katechetur i często spieszą do chorych z pomocą duchowną. Mało w tych stronach kościołów, więc im pracy nigdy nie braknie.

Oprócz tego mają Ks. Ks. Misyonarze jeszcze trzeci dom we Wiedniu, na Pouthongasse. Powstanie tego domu spowodował ks. Touvre, o którym wyżej wspomniano. Ten gorliwy konfrater bolał nieraz nad smutnem położeniem kobiet, które po odbyciu kary więziennej nie mogą znaleźć nigdzie zajęcia i zarobku, bo ludzie lękają się zazwyczaj przyjąć takie osoby do obowiązku. Dlatego często z nędzy rzucają się te nieszczęśliwe powtórnie w objęcia występku. Myślał więc o jakim zakładzie, w którym, po odbyciu kary więziennej, mogłyby znaleźć mieszkanie i zatrudnienie tak długo, dopóki nie znajdą uczciwego zajęcia. Zaczął więc gorliwie zbierać ofiary na ten cel, lecz zmarł wprzód nim zdołał swą ukochaną myśl urzeczywistnić. Plan jego podjął ks. superyor Marcin Derler i polecił dalsze starania ks. Ferdynandowi Meditsowi. On założył stowarzyszenie pod wezwaniem św. Antoniego Padewskiego. Przy pomocy tego stowarzyszenia wybudował w r. 1887 obszerny dom i ładny mały kościółek pod wezwaniem św. Antoniego. Domek po drugiej stronie kościoła stojący dano Ks. Ks. Misyonarzom, aby spełniali obowiązki duszpasterskie w zakładzie. Konfratrzy przenieśli do tego domu swoje Małe Seminaryum, które

dotąd było w domu na Kaiserstrasse, gdzie nie mogło się rozwinąć z powodu braku miejsca. Tu zaś można większą ilość młodzieży przyjmować, tak, że zazwyczaj 50 studentów się tu wychowuje. Studya swe odbywają w gimnazyum rządowem w Meidlingu. Po skończeniu szóstej klasy posyłają ich do Seminaryum Internum w Gracu. W kościele św. Antoniego, który przed kilku laty powiększono i pięknie odmalowano, zasługuje na uwagę krzyż z XVI. wieku, dzieło rzeźbiarza norymberskiego Riemenschneidera, który jest nieco młodszy od naszego Wita Stwosza. Krucyfiks ten, wyrzucony z kościoła przez protestantów w czasie reformacyi, stał się z czasem własnością pewnej pobożnej pani, która go kupiła za znaczne pieniądze i ofiarowała do tego kościoła. Fundatorem organu jest brat Józef Macher, teraz osiemdziesięcioletni staruszek na Kaiserstrasse. Zarząd zakładu św. Antoniego mają Siostry Miłosierdzia. Opiekują się mianowicie byłemi więźniarkami, ubogiemi choremi i dziećmi, które za dnia przychodzą do zakładu. Małoseminarzyści wyjeżdżają na wakacye do Untertullnerbach, gdzie mają domek letni.

Miejscowość ta należy do Lasu Wiedeńskiego. A jest bardzo piękna. Przypomina żywo uroczą dolinę nad Zdolskim potokiem w Dubiu; tylko, że nie jest tak ściśnięta i ma znakomicie utrzymane drogi i ścieżki leśne. Przytem leży w obrębie lokalnej kolei wiedeńskiej, jest więc łatwe, wygodne i tanie połączenie ze stolicą. Byłem w Tullnerbach dwa razy. Oceniłem też ważność takiego miejsca dla mieszkańców Wiednia. W tem mieście bowiem powietrze jest przesycone sadzą i dymem wydobywającym się z tysięcy fabrycznych kominów. Niemało także przyczyniają się do zadymienia powietrza koleje miejskie i państwowe. W dni mgliste zwłaszcza, które we Wiedniu nie są rzadkie, daje się to odczuć jeszcze wyraźniej. Dla młodzieży więc jest niezawodnie warunkiem zdrowia spędzić czas dłuższy w okolicy o balsamicznem leśnem powietrzu.

Kościoły nasze we Wiedniu znane są powszechnie z tego, że można w nich łatwo się wyspowiadać. Zawsze

bowiem przynajmniej dwóch spowiedników jest w konfesyonałach, lub są gotowi przyjść na pierwszy znak dzwonka z zakrystyi. Są też spowiednicy dla języka węgierskiego i czeskiego. Na konfesyonałach widnieje napis, kto i w jakich językach tam spowiada. Częstych, tygodniowych spowiedzi jest bardzo wiele; lecz w wielkiej ilości przychodzą ludzie ze spowiedziami z dłuższego, a nieraz z bardzo długiego czasu. Pozatem jeżdżą konfratrzy na misye. Zazwyczaj są to mniejsze misye, ale zato dość częste. Nadto pracują konfratrzy z Kaiserstrasse w szpitalu św. Zofii i we więzieniu. — Budowałem się zawsze punktualnością i gorliwością konfratrów wiedeńskich.

Ks. Fr. Bączkowicz.

Z podróży na Wschód.

11. W drodze ze Stambułu do Smyrny.

Druga godzina była, gdy stanąłem na pokładzie Tygrysa, oddalonego około 100 metrów od brzegów Galaty. Okręt podobno niedawno zbudowany, lecz pierwsze wrażenie było bardzo przykre, bo wszędzie dużo nieporządku i nieładu. Na szczęście dostałem dosyć wygodną kabinę pod głównym pokładem, daleko od huku maszyn okrętowych. Za towarzysza podróży dano mi jakiegoś Turka z Mersyny, położonej u stóp góry Taurus. Z nieufnością zrazu spoglądaliśmy na siebie, ale to ustąpiło niebawem, gdy się przekonałem, że on ma więcej strachu przedemną, niż ja przed nim. Zmówić się było niepodobna, gdyż on umiał tylko po turecku, a z języka francuskiego tylko kilka frazesów, którymi mię uprzejmie traktował kilka razy dziennie. Nie mogłem mieć wyborniejszego socyusza. Tymczasem jednak przekonałem się, że w kabinie całej, w łóżku, w stoliku, w szufladkach pełno niepowołanych stworzeń pospolicie zwanych „rusami". Przecież to okręt rosyjski.

Rozpakowawszy się wygodnie, gdyż miałem całe 8 dni spędzić na pokładzie Tygrysa, przyglądnąłem się bliżej swym towarzyszom podróży. W trzeciej klasie pełno żydków rosyjskich, pielgrzymujących do Jeruzalem, oraz kilkudziesięciu Muzułmanów, jadących w pielgrzymce do Mekki. Ponieważ trzecia klasa na naszym okręcie nie miała osobnych kabin, porozkładali się, gdzie mogli. Muzułmanie przeważnie na pokładzie drugiej klasy. Tutaj miałem sposobność przekonać się, jaką to swobodą umysłu oznacza się ludność wschodnia; chociaż jadą trzecią klasą, jednakże daleko wygodniej urządzają sobie podróż, aniżeli pasażerowie I. i II. klasy. Każdy

wiezie najpierw olbrzymią pakę koców, kołder i poduszek. Wyszukawszy sobie wygodne i przewiewne miejsce z widokiem na morze, urządzają sobie tam swe legowisko; na podłodze rozkładają miękkie kołdry, na nich kładą cały zapas poduszek i koców, i podwinąwszy nogi pod siebie w błogiej medytacyi spędzają cały dzień. Dla rozpędzenia nudów częstują się wzajemnie czarną kawą, a z ust do ust krąży długi cybuch rozkosznej nargile. Zastępuje ona Turkom naszę fajkę. Składa się z karafki szklanej, napełnionej czystą wodą, przez którą przechodzi rurka długiego cybucha. Tytoń zwilżony kładzie się na szyjce tej karafki, gdzie się powoli pali za pomocą węgla drzewnego. Dym zaś, przechodząc przez wodę, ochładza się. Naturalnie, że pasażerowie tak muzułmanie jak żydzi nie biorą udziału we wspólnej uczcie na okręcie. Mylilibyśmy się bardzo mniemając, że cierpią głód, bynajmniej, każdy z nich wiezie całe zapasy żywności, chleba, winogron, fig, pomarańcz, melonów, a przedewszystkiem dużo pomidorów i suszonych ryb. Prawdziwą radość sprawia to, jak te wielkie porcye w mgnieniu oka znikają. Rozumie się, że w każdym porcie uzupełniają spożyte zapasy. Europejczyk rozpędza swe nudy na okręcie lekturą, spisywaniem swych wrażeń; na to wszystko nasi poczciwi Turcy czasu nie mają, gdyż modlitwa, sporządzanie potraw, napawanie się miłym dymem nargile, zapełniają szczelnie ich dzień, tak, iż nie wiele mają czasu do kontemplacyi, w której tak bardzo się lubują. To wszystko wzbudza dla nich wielką sympatyę, tem więcej, że odznaczają się czystością i zamiłowaniem porządku. Ich malowniczy i jasny ubiór, utrzymywany jest najstaranniej, co stanowiło tym większy kontrast do brudnych, niemiłych żydków rosyjskich, którzy na okręcie nieustannie mieli jakieś „geschäfty“ i interesy.

Zlustrowawszy cały okręt przekonałem się, że oprócz jednego Syryjczyka, i dwóch lub trzech Greków oraz załogi okrętowej niema ani jednego chrześcijanina na nim. W drugiej klasie znalazłem kilka lepszych rodzin żydowskich, jedną wysoce wyemancypowaną żydówkę, gardzącą swymi współ-

wyznawcami, którzy nawzajem taką odpłacali się jej monetą. Zaraz na wstępie przekonałem się, że będę musiał całe 8 dni spędzić w głuchem milczeniu. Z czego byłem niezmiernie rad, gdyż tem swobodniej mogłem się oddawać głębokim wrażeniom, jakie wywierało na mnie wybrzeże Małej Azyi, któregośmy nie mieli spuszczać z oka.

Okręt stał długo jeszcze na miejscu, bo brał bardzo wiele towarów, które wiózł nietylko do Syryi i Egiptu, ale także do Arabii i zatoki perskiej. Cztery godziny mogłem jeszcze rozkoszować się widokiem Konstantynopola i przepięknych jego okolic. Żal mi było opuszczać Konfratrów, którzy tyle okazali mi serca i wśród których tyle pięknych spędziłem dni. Długo wpatrywałem się w wspaniałą kopułę św. Zofii, a szczególniej długo zatrzymywałem swój wzrok na dzwonnicy św. Benedykta, gdyż serce buntowało się przeciw osamotnieniu, w jakiem miało zostawać dni tyle. Konstantynopol toć przecież jeszcze Europa, w której zostawiłem tyle drogich serc; choć pociągał mię Wschód urokiem swoim, wiadomościami, jakiemi miał wzbogacić mój umysł i wrażeniami uszlachetniającemi wyobraźnię i uczucie, to jednak całego wysiłku musiałem użyć, aby opanować tęsknotę za krajem rodzinnym. O szóstej godzinie wieczorem, zawarczała maszyna; Tygrys szybko opłynął przylądek Stambułu, a po godzinie zostało zeń tylko wspomnienie, żal i tęsknota w sercu. Minęliśmy St. Stefano, gdzie niegdyś znajdowało się nasze kolegium św. Benedykta, a obecnie z daleka wita podróżnych pomnik, postawiony na cześć poległych w ostatniej wojnie turecko-rosyjskiej. Nocą przepłynęliśmy morze Marmara, a słońce wschodzące nazajutrz, złotem swem światłem zlewało malownicze wybrzeża Hellespontu.

Około godziny ósmej okręt zatrzymuje się w Darnadellach, po turecku Czanak-Kalessi (zameczek naczyń glinianych). W tem miejscu Hellespont jest najwęższy; tu znajdują się obronne zamki dardanelskie, nie pozwalające żadnemu okrętowi przepłynąć cieśniny. Po stronie europejskiej jest fort Kilid Baher, a po stronie azyatyckiej Kale Sultanie.

Ledwie zatrzymał się okręt zaraz otoczyły go dziesiątki łodzi, pełnych owoców, winogron, fig itd., a także przywieziono mnóstwo wyrobów ceramicznych, różnych waz, naczyń, modelowanych na wzór starożytnych greckich. W porcie zastaliśmy kilka statków wojennych tureckich starego typu. Nasz Tygrys zatrzymał się czas dłuższy, gdyż czekał na okręt następny, aby zeń przeładować część towarów i zabrać ze sobą do Syryi i Port Said.

Z Dardanellów można urządzić wycieczkę do Troi, oddalonej stąd zaledwie o sześć godzin jazdy konnej. Aby jednak z tej wycieczki odnieść jaką korzyść, trzeba ją odbyć w towarzystwie znakomitego archeologa i zapoznać się z kulturą mykeńską, a specyalnie z wykopaliskami w Hissarlik. Wiadomą jest rzeczą, że długi czas aż do końca XIX. w. sprzeczano się, gdzieby należało szukać Homerowskiego Ilionu. Dopiero Henryk Schliemann na podstawie długoletnich poszukiwań na miejscu (od r. 1870 do 1890) udowodnił, że Troja Pryama leżała na wzgórzu opodal wioski Hissarlik, czyli tam, gdzie później w epoce rzymskiej Rzymianie wznieśli miasto Ilium. Oni specyalnie interesowali się tem miastem, gdyż stąd mieli pochodzić ich praojcowie, wywodzący się od Eneasza. Poszukiwania Schliemanna uzupełnił następnie Dörpfeld, któremu udało się odsłonić wielką część murów z czasów bohaterów Iliady. Dzięki wykopaliskom, jakie równocześnie poczyniono w Grecyi, Mykenach, Tyrens, Argos i na Krecie w Knossos i Festos, udało się archeologom uzyskać cały szereg dowodów dla rozpoznania architektury z epoki mykeńskiej, której bogate wspomnienia znajdujemy w Iliadzie i Odyssei. Dzięki też tym badaniom Homer jest nietylko dla nas wzorem niedoścignionym w poezyi, ale zarazem jego opisy ówczesnych miast, mieszkań, stosunków geograficznych i etnograficznych przedstawiają pierwszorzędną wartość historyczną.

Nie będę bliżej opisywał rezultatów tych badań, gdyż sam nie miałem sposobności zwiedzić ruin starożytnej Troi, z okrętu tylko płynącego nie daleko od wybrzeża obejmowałem

wzrokiem wiekopomną nizinę trojańską, którą po dziś dzień przepływają jeszcze homerowski Symoeis i Skamandros. Zdaleka ukazał się naszym oczom lesisty szczyt góry Idy, na której według pojęcia bohaterów trojańskich znajdował się tron gromowładnego Zeusa. Skamandros, dzisiejszy Mendere Czaj, wpada do cieśniny Dardanelskiej opodal Kum-Kale. Liczne statki rybackie wskazują na miejsce, gdzie niegdyś stały okręty bohaterów trojańskich. Wybrzeże tutaj jest płaskie; tu i ówdzie widzimy maleńkie kopce, mające być według miejscowego podania mogiłami Ajasa, Achillesa i Patroklosa. Dzień był prześliczny. Słońce oświetlało wspaniale nizinę trojańską; w oczach stają nam żywo postacie homerowskie; widzimy Dyomedesa, ścigającego z całą zaciętością swoich wrogów, w myśli staje nam Achilles, nie pocieszony po stracie swego drogiego przyjaciela, a gaszący swą rozpacz w nienawistnym pościgu za mężnym Hektorem. Wszystkie te postacie cisną się kolejno do mej pamięci, wyobraźni, zdaje się, że ich się tuż ma przed sobą, że to nie marzenie, ale szczera rzeczywistość. Dzisiaj jednak na równinie tej panuje cisza grobowa, nic nie ostało się po starych bohaterach, których wielkie postacie wiekami całymi służyły za wzór młodzieży greckiej. Tu stąd jako z korzenia wyrosła cała potężna kultura i cywilizacya klasyczna; wszystko co nam dzisiaj daje nauka, architektura i sztuka, tu ma swój początek. Mojżesz nawet zdaje się znał już tutejsze okolice. Tu r. X. Genesis zdaje się umieszczać siedzibę narodu Tyras, mającego być identycznym z Etruskami. Istotnie udało się archeologii wykazać ślady kultury etruskiej w tych okolicach, bo na poblizkiej wyspie Lesbos. Zamiast szczęku broni panuje tu teraz cisza nie zamącona, która mnie też przebudziła z błogich tych wspomnień. Zdawało mi się, że niebo powinno się smucić z powodu minionej chwały tej ziemi, ale ono pogodne, nawet chmurka nie zasmuca jasności lazuru, a morze ciche i spokojne wchłania w siebie jasny błękit niebieskiego stropu, a woda w cichem uśpieniu ukołysana marzeniami lat minionych najmniejszego nie zdaje

się stawiać oporu, gwałtownie ją wzburzającemu Tygrysowi. Okręt nasz, wpatrzony w daleką przeszłość, jakby w rozczarowaniu ucieka, chcąc zatrzeć rozdźwięk wrażeń chwalebnej przeszłości i smutnej chwili obecnej.

Zmieniamy kierunek biegu. Opłynąwszy przylądek Kum-Kale zwracamy się ku południowi. Tuż przed nami jest wyspa Imbros, a dalej sterczy potężny szczyt gór Samotraki, skąd Neptun swem trójzębnem berłem włada nad falami morza. Pośród porozrywanych wybrzeży wyspy Tenedos, utknął olbrzymi statek transportowy. Jak nas objaśnił kapitan, był to okręt angielski, który razem z naszym Tygrysem wyjechał z Odessy, ale widocznie mijając w nocy skalistą cieśninę, przypłacił drogo swą śmiałość i teraz rozbity szuka ratunku. Tem więcej pokochałem Tygrysa, który, choć brudny, choć samych prawie Izraelitów mieści w swem łonie, jednak idzie bezpiecznie i spokojnie.

Około godziny drugiej z południa ukazała się w oddali największa z wysp egejskich, starożytna Lesbos, dzisiejsza Mytilini. Już w odległej starożytności kolonizowali ją Eolowie, dla których stanowiła klucz do wybrzeży azyatyckich. Z historyi znana jest potęga tej kolonii, która śmiało stawiła czoło całej przemocy ateńskiej, przypłaciła to jednak utratą swej samodzielności. Dzisiaj jednak rozległa ta wyspa smutny przedstawia widok. Płyniemy tuż przy wybrzeżu jej przez całe cztery godziny. Dawniej bujne tętniało tu życie, a dzisiaj pustka i cisza zalega grobowa. Długie godziny opływamy dzikie porozrywane jej brzegi, zaledwie tu i ówdzie ujrzysz biały domek na tle świeżej zieleni, lub wiatrak bezmyślnie w koło wirujący. Okręt nasz dostaje się w wązki przesmyk między Kap Burnu i Molywos, starożytną Metymnę. Wyspa Mytilini jest ojczyzną śpiewaków Alkajosa i Sapfo, którzy w złośliwych swoich wierszach ostro chłostali rządy tyrana Pitakusa, którego jednak szczęśliwe panowanie sławiła potomność, zaliczając go do siedmiu mędrców greckich. Mijamy ruiny starożytnego Assos, wspomnianego w dziejach Apostolskich.

Żywo staje nam odrazu w oczach św. Paweł apostoł, ten niezmordowany siewca ewangeliczny, który użyźnił całe to wybrzeże potem swoich znojów i trudów apostolskich. Już w drugiej swej podróży misyjnej przedsięwziętej po Soborze Jerozolimskim, gnany Duchem Pańskim przebiega spragniony zbawienia dusz, prowincye Azyi mniejszej. Opowiadają nam Dzieje, że zwiedziwszy Syryę i Cylicyę, przeszedł kolejno pieszo całą Lykaonię, wizytując założone przez siebie w pierwszej swej podróży misyjnej gminy chrześcijańskie. Wtenczas to w Lystrze przyłącza się do niego młodociany Tymoteusz, jego najulubieńszy uczeń, aby już prawie nigdy nie odstępować od boku ukochanego swego Mistrza i Ojca. Myśl nasza śledzi go, jak przeszedłszy Frygię i Galacyę zamierza zarzucić sieć rybacką w prowincyi Azyi, lecz Duch św. mu tego wzbraniał. Omijając tedy Azyę, zapędza się ku Mizyi, której malownicze wybrzeża właśnie mijamy. Tędy chcial przejść do Bitynii, lecz Duch św. komu innemu miał powierzyć to pole apostolskie. I tak gnany przez całą Małą Azyę nie znajduje Apostoł Paweł nigdzie miejsca, gdyż Duch św. pędzi go w nieznane jemu okolice. Stroskany przybył do Troady, którą co dopiero minął nasz okręt. Tu dopiero oświeca go Bóg w widzeniu nocnem, wskazując, jako niwę pod uprawę apostolską, Macedonię. Z Troady więc razem z Łukaszem i Tymoteuszem przepływa między wyspami Imbros i Limnos do Samotraki i staje na stałym lądzie Europy.

Po raz wtóry widzimy św. Pawła uciekającego tą samą drogą przed prześladowaniem z Efezu do Macedonii, późną jesienią 56. roku. Na wiosnę zaś 57. roku, widząc, że ewangelię rozsiał już w całym świecie helleńskim, na Cyprze, w Syryi, Cylicyi, całej Małej Azyi, w Grecyi i Macedonii, dusza jego gorąca rwie się do nowej pracy, w coraz dalsze kraje popycha go zapał ewangelii. To też pożegnawszy się czule z swymi ukochanymi chrześcijanami w Koryncie, pisze największy swój list do gminy rzymskiej, zapraszając się w gościnę do nich, prosząc zarazem, by mu ułatwili podróż, apostolską do Hiszpanii. Zanim jednak się wybierze w te

odległe okolice, pragnie jeszcze raz uczynić przegląd wszystkich swych prac. Udaje się przeto napowrót do Macedonii, przechodzi ją pieszo i święta wielkanocne spędza wśród ukochanych swoich Filipensów. Gdy tymczasem liczni jego towarzysze jak Sopater z Berei, Aristarchus i Sekundus z Tessaloniki, Gajus z Derby i Tymoteusz, oraz Tychikus i Trofimus z Azyi uprzedzili go do Troady, gdzie mieli nań zaczekać. Spotykamy go też tutaj po świętach wielkanocnych wśród grona licznych uczniów. Zabawił tam przez całe dni siedm. Siódmego dnia, a była to niedziela, pragnął się uroczyście pożegnać z wszystkimi chrześcijanami w Troadzie, którzy, sądząc z drugiego listu do Koryntyan (2 Cor. II. 12, 13.), z wielką ochotą słuchali słów apostolskich św. Pawła, gdy tenże uciekając z Efezu, krótko się wśród nich zatrzymał, a choć pragnęli całem sercem dłużej go mieć wśród siebie, wyrwał się od nich, bo serce jego stroskane było losem gminy koryndkiej, zawichrzonej przez niepowołanych apostołów. Rzuca więc to świeże pole pracy, a idzie tam, gdzie wilki rzucają się na jego owieczki. Teraz za to sowicie im wynagradza i całą ostatnią noc, jaką spędził wśród nich przeznacza wzajemnej modlitwie, nauce i łamaniu chleba. Wówczas to znużony snem młodzieniaszek Eutychus spadł z trzeciego piętra i zabił się na miejscu. Paweł św. nie chcąc zasmucać swych kochanych braci przywraca mu napowrót życie. Z Troady, tą samą drogą, którą obecnie płyniemy, przez Assos, Mytileny, Chios, Samos przybywa do Miletu, aby się tam pożegnać z naczelnikami kościoła efezkiego.

Wśród takich wspomnień, wśród ciszy uroczej, niespostrzeżenie dostajemy się do portu Mytyleny. Miasteczko położone wśród zieleni, wśród oliwek i winnic, szerokim łukiem spina się terasowato ku okalającym je wzgórzom. Wysoko nad miasteczkiem wznosi się średniowieczna warownia. Nie było jednak czasu na zwiedzenie miasta, bo już był późny wieczór, a okręt zatrzymał się tylko na pół godziny. Tak minął pierwszy dzień mojej podróży do Jaffy; długo w noc siedziałem jeszcze na pokładzie, przeżywając

już raz nie wiem który, liczne i szczytne wspomnienia. Cisza, gwieździste niebo, rozkoszna woń wieczornej aury, morze, ukołysane do snu, wprawiły w spokój głęboki całą mą duszę. Myśl biegła wysoko, błogosławiąc Boga, do którego gromadka synów Izraela właśnie w tej chwili zanosi swe modły, zebrana na zacisznem ustroniu pokładu, gdyż właśnie zapadała noc szabatu.

Była godzina druga w nocy, gdyśmy stanęli w Smyrnie. Przebudził mię dzwonek komendanta i złowrogie warczenie maszyny okrętowej, powodowane spuszczaniem ciężkich kotwic. Przez chwilę myślałem, że stało się jakie nieszczęście, lecz wyjrzawszy oknem zobaczyłem ślicznie iluminowany port smyrneński, a okręt nasz stał już spokojnie wśród całego lasu masztów i żagli.

12. Wspomnienia ze Smyrny.

Wstałem wczesnym rankiem i razem ze Syryjczykiem Hermesem, wychowankiem naszych Konfratrów z Bejrutu, na łódce niejakiego Mustafy, wysiedliśmy na ląd. Była godzina piąta rano, w porcie oprócz celników i tragarzy nie było żywej duszy. Oddawszy przeto nasze „tezkere“, z planem miasta w ręku poszliśmy szukać domu naszych Konfratrów. Pierwsze wrażenie było nadzwyczaj dodatnie. Uderzyła mię przedewszystkiem czystość, panująca na długiej ulicy nadbrzeżnej. Po półgodzinnem błąkaniu, dostaliśmy się do kościoła Serca Jezusowego. Wszyscy Konfratrzy odprawiali wówczas rekolekcye:

Czcigodny ks. Poulin, długoletni superyor w Smyrnie, przyjął mię z niezmierną uprzejmością, która się zamieniła w serdeczną radość, gdy się dowiedział, że jestem polskim Konfratrem. Po krótkiej modlitwie odprawiłem mszę św. przy ołtarzu św. Wincentego. Wtenczas to po raz pierwszy odczułem, co znaczy dla kapłana być pozbawionym choćby przez dzień odprawiania mszy św. Nigdy też Panu Bogu za tę łaskę nie dziękowałem tak, jak wówczas, i nigdy nie doznałem większej przykrości, jak przewidując, że przez cały

następny tydzień nie będę mógł przystąpić do ołtarza pańskiego. Wśród mojej podróży zawsze ten brak najdotkliwiej odczuwałem. Nie chcąc przeszkadzać Konfratrom w odprawianiu rekolekcyi zaraz po mszy św. sam wybrałem się na zwiedzenie osobliwości miasta. Czcig. ks. Poulin, którego ojcowska dobroć na wskróś mię ujęła, zaprowadził mię na terasy domu, skąd roztacza się wspaniały widok: z jednej strony na morze, wrzynające się głęboko w ląd, a z drugiej na potężne stoki górskie, na których wznosi się terasowato miasto, a których szczyt zdobią starożytne mury Pagosu, pamiętające jeszcze czasy Aleksandra W.

Smyrna rozłożyła się szeroko nad morzem. Tuż przy wybrzeżu znajduje się część europejska, złożona z dwóch czy trzech ulic, biegnących paralelnie do murowanego Keju, przeszło 4 kilometry długiego. Dzisiejsze miasto Smyrna liczy 200 tysięcy mieszkańców, z których 160 tysięcy chrześcijan. Liczba katolików dochodzi blizko 20 tysięcy. Miasto zatem ma typ wybitnie chrześcijański, który na zewnątrz ujawnia się w licznych nader świątyniach, na których szczytach błyszczy krzyż. Półksiężyc zaś muzułmański, jakby ze wstydem chowa się na cienistych skłonach Pagosu. Smyrna jako miasto handlowe przedstawia wszelkie warunki rozwoju, leży prawie w środku półwyspu małoazyatyckiego, tutaj schodzą się drogi karawan z płaskowyżu armeńskiego i z ziem położonych nad górami Taurus. Port jest olbrzymi; nic przeto dziwnego, że już w głębokiej starożytności zwróciła ta miejscowość uwagę ówczesnych władców. Historya wspomina, że założyli ją Grecy Eolowie jeszcze w XI. wieku przed Chrystusem; dostała się do rąk Jończyków, którzy wcielili ją, jako trzynastą, do związku panjońskiego. Władcy lidyjscy kusili się raz po raz o zdobycie tego miasta. Zdobył i zburzył ją Allyates w r. 575 przed Chrystusem. Aleksander W. odrazu ocenił ważność położenia Smyrny; kazał ją odbudować, a plan jego wykonali późniejsi królowie Antygon i Lyzymach. Zbudowali ją nie na szczycie Pagosu, gdzie było miasto Tantalowe, ale u stóp nad wybrzeżem morskiem.

Z biegiem czasu równina ta znacznie się rozszerzyła, bo jeszcze nawet w ostatnich dziesiątkach lat morze posunęło się znacznie w tył. Opowiadał mi ks. Poulin, że kiedy restaurowano dzwonnicę przy kościele Konfratrów znaleziono pod fundamentami resztki dawnego obmurowania portu smyrneńskiego. Tymczasem dzisiaj kościół Konfratrów jest oddalony o parę set metrów od morza. Smyrna w epoce greckiej doszła do ogromnego stopnia rozwoju tak, że przysługiwał jej tytuł pierwszego miasta Azyi. Smyrna uważała się także za ojczyznę Homera i w niej zbudowano wspaniałą świątynię na cześć bożka Melesa, mniemanego ojca Homera, t. zw. Homerejon.

W dziejach religii chrześcijańskiej odegrało to miasto wybitną bardzo rolę. Już akta męczeńskie św. Polykarpa, będące jednym z najstarszych dokumentów literatury chrześcijańskiej opowiadają, że sam św. Paweł głosił tu ewangelię św. Na czele tej gminy stoi jedna z największych postaci ery staro-chrześcijańskiej, św. Polykarp, uczeń św. Jana apostoła, a ojciec duchowny św. Ireneusza i wielu innych apostołów kościoła galickiego. W oczach ukochanego ucznia Chrystusowego, gmina smyrneńska odznaczała się największą gorliwością. To też w objawieniu swojem z całem uznaniem wyraża się św. Jan, a raczej Duch św. przez autora Apokalipsy, o działalności Anioła, t. j. biskupa kościoła smyrneńskiego, wychwala jego męstwo, cierpliwość, a przedewszystkiem wytrwałość wobec prześladowania tych, co się nazywają żydami, w rzeczywistości zaś są synagogą szatana. Św. Polykarp uwieńczył świątobliwe swe życie śmiercią męczeńską, poniesioną w stadyonie, którego ślady po dziś dzień pokazują wierni na stokach Pagosu.

W późniejszych epokach Smyrna różne przechodziła koleje. Dzieliła losy państwa wschodniego, tylko, że w czasie cesarstwa łacińskiego w Konstantynopolu, w latach 1204 do 1261, pozostawała stale pod berłem cesarzy byzantyjskich rezydujących wówczas w Nicei. Roku 1402 zniszczył Smyrnę Timur, a 22 lata później dostała się ostatecznie w moc Otto-

manów. Odtąd nigdy żadne spustoszenie wojenne nie dotknęło miasta św. Polykarpa, lecz za to przechodziła liczne przesilenia wskutek trzęsień ziemi i strasznych pożarów, nawiedzających to miasto. Rozwój Smyrny datuje się przedewszystkiem od roku 1870, kiedy towarzystwo francuskie zbudowało obecny dogodny port. Przeważna część ludności dzisiejszego miasta to Grecy, którzy wszyscy przyznają się do kościoła ortodoksyjnego. Prawie aż do wieku XVI. nie znajdujemy tu nawet śladu katolicyzmu.

Obecnie wszakże utworzyła się dla katolicyzmu nowa era rozkwitu. Liczba katolików, jak wspomniałem już wyżej dochodzi do 20 tys. Jako niegdyś ze Smyrny liczni apostołowie nieśli wiarę do Francyi, tak dziś Francya odpłacając się za miłość, posyła tam dotąd licznych swoich misyonarzy. Ku naszej pociesze możemy śmiało powiedzieć, że ze zrządzenia Opatrzności, danem było naszym obydwom Zgromadzeniom pracować w pierwszym szeregu na tem polu, zachwaszczonem schyzmą. Jakże się raduje serce nasze, gdy spotykamy w Smyrnie dziesiątki wspaniałych kościołów, w których oprócz gorliwego duchowieństwa świeckiego, pracują liczne zgromadzenia zakonne, Kapucynów, Minorytów, Dominikanów, Mechitarzystów, Braci szkół chrześcijańskich, Ks. Ks. Misyonarzy i S. S. Miłosierdzia, oraz Pań syońskich, założonych przez Alfonsa Ratisbonne. Prześliczny jest kościół św. Polykarpa, budowany w stylu renesansowym, ze wspaniałemi kolumnami z różnobarwnego marmuru; daleko jednak wspanialszą jest bazylika św. Jana, zbudowana przez Ks. Arcybisk. Spaccapietra, który był członkiem naszego Zgromadzenia.

Smyrma otrzymała arcybiskupa łacińskiego obrządku w r. 1818. Czwartym z rzędu arcyb. smyrneńskim był właśnie wspomniany Monsignore Spaccapietra. Był to jeden z najdzielniejszych konfratrów, jakich wydała prowincya neapolitańska. Długie lata pracował na ziemi włoskiej razem z Wielebnym bisk. de Jacobisé, apostołem Abyssynii. Nie ocenione przysługi oddał Msgr. Spaccapietra jeszcze jako wi-

zytator kardynałowi Riario Sforza, arcyb. Neapolu w pamiętnej rewolucyi 1848 r. i z bohaterskiem poświęceniem zasłaniał swego arcypasterza, wobec wzburzonego ludu. Długi czas odrzucał ofiarowane sobie biskupstwa w połd. Włoszech. Dopiero z Najwyższego rozkazu Grzegorza XVI. musiał przyjąć godność biskupa i delegata apostolskiego na wyspie św. Trójcy, gdzie przez 11 z górą lat w trudnych warunkach, wśród prześladowań ze strony rządu angielskiego, kierował powierzoną sobie trzodą, a uporządkowawszy zawiłe stosunki kościelne, za pozwoleniem Stolicy apostolskiej zrezygnował ze swej godności, na rzecz kapłana pochodzenia angielskiego. Po powrocie do Rzymu, wysłał go Pius IX. jako swego nadzwyczajnego delegata do Ziemi św. Jako 60 letni starzec miał się podjąć nowej zaszczytnej co prawda, lecz trudnej misyi; właśnie umarł w Smyrnie Msgr. Mussabini, który z nadzwyczajną gorliwością pracował nad rozwojem kościoła w Małej Azyi. Jego Świątobliwość papież Pius IX. trudny ten posterunek misyjny powierzył Monsignerowi Spaccapietra. Dnia 29. czerwca 1862 r. objął w posiadanie katedrę św. Polykarpa. Przyjęto go z nadzwyczajnym entuzyazmem, bo już wszystkim było znane jego serce i miłość dla sprawy Bożej. Pierwszem jego staraniem po przyjeździe do Smyrny było wystawić ku czci św. Jana wspaniałą bazylikę, którąby swym blaskiem i swoją pięknością przyciągała serca niewiernych do zamiłowania Kościoła św. Słuszną było, aby Kościół smyrneński tak jasnem świecący światłem za apostoła Jana św. znalazł wyraz zewnętrzny dla owej świetności. Gorliwe jego serce umiało zapalić wszystkich do tego dzieła i sami chrześcijanie ze Smyrny złożyli w przeciągu kilku dni 100 tys. franków na nową świątynię. Dwanaście lat trwała budowa katedry, którą też sam uroczyście konsekrował 1874 r. Życie religijne za czasów jego rządów rozwinęło się nadzwyczaj pomyślnie. Umiał wszystkich zagrzać do gorliwej pracy, wiernych zszeregował w przeliczne stowarzyszenia dla szerzenia dzieł miłosierdzia i z całą usilnością popierał gorliwość różnych zakonów i zgromadzeń. Największą jednak jego

boleścią było, że mało tylko niewiernych przechodziło na łono Kościoła Bożego. Żalił się, że o Smyrnie powiedzieć trzeba: messio pauca, operarii autem multi. Wiemy jednak dobrze, czemu tak trudną jest propaganda katolicka w Turcyi. W czasie Soboru Watykańskiego odegrał ważną bardzo rolę, gdyż jemu w znacznej mierze przypisać należy, że prałaci obrządków wschodnich, oświadczyli się za ogłoszeniem dogmatu nieomylności papieskiej. Do jednej z najpiękniejszych chwil na soborze, był moment, gdy następca św. Polykarpa, 70 letni starzec, w barwnych obrazach wywodził, jak to niegdyś uczeń św. Jana szukał rady w wątpliwościach u biskupa rzymskiego. Wykazywał, jak w ścisłym zostawał związku kościół smyrneński ze stolicą św. Piotra, którą św. Ignacy współczesny Polykarpowi nazywał προκαθημένη τῆς ἀγάπης, przewodniczką uczty miłosnej. Do ostatnich chwil swego życia zajęty był pracą apostolską. Jeszcze dwa tygodnie przed śmiercią, udał się do Konstantynopola, aby tam wygłosić rekolekcye dla Sióstr syońskich. Trudy podróży i przeziębienie przyspieszyły jego śmierć, która żałobą głęboką okryła nie tylko kościół smyrneński, ale wszystkich, nad których zbawieniem pracował. Wierni też z wdzięczności i miłości ku swemu pasterzowi, wystawili mu pomnik wspaniały, zdobiący plac przed bazyliką św. Jana. Msgr. Spaccapietra cieszył się zawsze największem zaufaniem papieży Grzegorza XVI. i Piusa IX. (*Annales de la Mission,* tom. 50. stron. 512—581).

13 Z działalności obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego w Smyrnie.

Jak w Konstantynopolu, tak i w Smyrnie Zgromadzenie nasze objęło dom pojezuicki. Wielu z pomiędzy OO. Jezuitów przyłączyło się do szeregów naszych Konfratrów, i razem z nimi od r. 1783 pracowali nad rozszerzeniem Kościoła. Znanem nam już jest, ze sprawozdania o pracach Konfratrów w Konstantynopolu, w jak trudnych warunkach znajdowali się nasi Misyonarze w państwie tureckiem. Praca

misyjna nad Muzułmanami wzbronioną była surowo przez prawo, wśród Greków zaś napotykała na niezmierne trudności, z powodu zakorzenionej od wieków między nimi nienawiści do Kościoła rzymskiego. Działalność Konfratrów naturalnie ograniczyć się musiała do katolików samych, Muzułmanom zaś i Grekom tylko przez dzieła miłosierdzia chrześcijańskiego mogli pokazywać wielką miłość Kościoła dla wszystkich biednych i w ten sposób torować sobie drogę do pozyskania ich serc. Dwie przedewszystkiem instytucye należało pielęgnować: szpitale i szkoły. Od początku też staraniem naszych Konfratrów było zakładać szkoły i grupować koło siebie młodzież nietylko katolicką, ale także innowierczą. W Konstantynopolu stosunkowo wcześniej powstało kolegium, gdy tymczasem w Smyrnie potrzeba było kilkudziesięciu lat, zanim uformowano większą ilość uczniów, zdolnych do wyższego wykształcenia. Dopiero w r. 1837 biskup smyrneński Bonamie ufundował kosztem Stowarzyszenia Rozkrzewianie wiary kolegium Propagandy. Po jego jednak rezygnacyi ze stolicy smyrnejskiej, w r. 1845, przeszło kolegium Propagandy na własność naszego Zgromadzenia. Aż do dnia dzisiejszego spełnia ono swoją misyę nader zaszczytnie, i chociaż Konfratrzy sprowadzili do Smyrny Braci szkół chrześcijańskich, zachęcając ich do pracy nad wychowaniem młodzieży, to jednak nie wypuścili ze swych rąk kolegium. Jest ono podobnie urządzone jak kolegium św. Benedykta na Galacie, ma bardzo piękną bibliotekę, a szczególnie dobrze urządzony gabinet fizyczny, zostający pod kierunkiem ks. Jung, alzatczyka, byłego oficera pruskiego. Dzisiaj kolegium to liczy 160 uczniów rozmaitych wyznań i narodowości. Czem był dla Konstantynopola ks. Bricet, tem dla Smyrny ks. Daviers superyor domu Serca Jezusowego, od r. 1802 do 1846. Za jego czasów rozwinęła Kongregacya nasza wszystkie swe prace, on zbudował wspaniały kościół Serca Jezusowego, on także sprowadził do Smyrny SS. Miłosierdzia, których cichej pracy P. Bóg niezmiernie pobłogosławił.

W r. 1839 pojechały dwie pobożne dziewice ze Smyrny do Paryża, aby tam wstąpić do Zgromadzenia SS. Miłosierdzia. Z końcem tego samego roku w towarzystwie trzech innych Sióstr znajdujemy je już w Smyrnie. Między niemi znajdowała się nadzwyczaj uzdolniona S. Gignoux. Ona to stała się założycielką wszystkich domów Sióstr w Smyrnie i okolicy. W r. 1840 powstaje dom *de la Providence.* Zaraz 21. stycznia 1841 r., zatem w miesiąc po przybyciu na wschód, otwiera S. Gignoux szkołę dla dziewcząt. Rzecz prawie niesłychana na wschodzie; zaraz też przeszło dwieście panienek pragnęło się zapisać do szkoły, ale z tych przyjęto tylko 80 biednych dzieci. Pierwszym owocem tej szkoły było, że odrazu znikła szkółka francuska, prowadzona w duchu antyreligijnym. SS. Miłosierdzia nie myślały całkiem poświęcać usług swoich dzieciom bogatym, ponieważ jednak nie było żadnego innego zakładu wychowawczego okazała się odrazu potrzeba założenia pensyonatu dla dziewcząt z lepszych rodzin. Stało się to w r. 1845. Kiedy wszelako w 1876 do Smyrny przybyło Zgromadzenie *Dames de Sion*, nasze Siostry odstąpiły im tego zakładu, zatrzymując dla siebie, w myśl swego powołania wyłącznie wychowanie biednych sierót. Przy domu *de la Providence* powstają kolejno coraz liczniejsze dzieła miłosierdzia. Przedewszystkiem założono w r. 1876 dom dla sierót, w którym znalazło umieszczenie przeszło 300 dzieci. Przy zakładzie otwarto szkołę dla robót ręcznych t. zw. *Ouvroirs*, która się dzieliła na trzy klasy: W pierwszej uczą się dziewczęta krawieczyzny, naturalnie obok zwykłych przedmiotów szkolnych. W drugiej klasie pomieszczono dzieci bardzo biedne, których rodzice nie mogli utrzymywać przez dłuższy czas w szkole. Tym udziela się nauki katechizmu, przygotowuje do pierwszej Komunii św. i kształcono we wszelakiego rodzaju robotach ręcznych. W trzeciej klasie znajdowały się już dziewczęta dorosłe, które zaprawiano do życia chrześcijańskiego. Nadto dom *de la Providence* roztoczył czułą opiekę nad dziewczętami murzyńskiemi. Zajął się odwiedzaniem chorych, tam założono aptekę i ambulatoryum,

gdzie kilka Sióstr udzielało pierwszej pomocy lekarskiej ubogim. W r. 1876 powstał dom SS. Miłosierdzia św. Józefa w Kulah, gdzie otoczono opieką upadłe dziewczęta, zajęto się podrzutkami i sierotami. Nadto posiadają Siostry w Smyrnie jeszcze t. zw. dom austryacki, jest to szpital zostający pod protektoratem Austryi, przy którym także znajduje się szkoła dla chłopców i dziewcząt. Dzisiaj ogółem w Smyrnie pracuje przeszło 100 Sióstr, które obok trzech szpitali wychowują u siebie 1200 sierót. W okolicach Smyrny mają Siostry szkoły i szpitale w miejscowościach: Burnabad, Budża i Aidin. Nie musimy dodawać, jak głęboki wpływ wywierały Siostry na całą ludność i niejednokrotnie też miały tu sposobność do heroicznego poświęcenia. Jeszcze w r. 1841 straszny pożar nawiedził miasto Smyrnę. Spłonęła cała dzielnica żydowska i turecka. Było to w czasie wakacyi. Wszystkie Siostry przez trzy tygodnie z nadzwyczajnem poświęceniem pielęgnowały chorych, biednych i rannych. Drugi raz 1881 roku, w czasie trzęsienia ziemi na Chios, tysiącom chorych i rannych niosły SS. Miłosierdzia pociechę i pomoc. Między niemi znajdowała się wówczas jedna Polka dzisiejsza Siostra Wizytatorka prowincyi krakowskiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Wilhelm Michalski.

KRONIKA.

Paryż. — *List ks. Konstantego Michalskiego z 28. września 1909.*

Na życzenie Najczcigod. ks. Wizytatora przysyłam obszerniejsze sprawozdanie z konferencyi O. Generała, dodając kilka uwag o domu św. Kazimierza; pomijam to, o czem już dawniej *Roczniki* wspominały, zamieszczając okolicznościowe notatki o tym zakładzie.

Na konferencyę wieczorną 3. września nie wyznaczył O. Generał żadnego przedmiotu, bo chciał mówić sam, chciał się podzielić z całą rodziną myślami, jakie mu się nasuwały w rocznicę długoletnich rządów, chciał się odezwać jako ojciec, którego szerokie serce mieści w sobie te same uczucia dla wszystkich prowincyi i narodowości. To też czekano głosu dzwonka, zwołującego do oratoryum — z niecierpliwością.

Od pierwszej chwili wzruszenie ogarnęło wszystkich, bo sam O. Generał był wzruszony. Trzydzieści jeden lat upłynęło od tej chwili, kiedy się zebrał generalny konwent wyborczy, najliczniejszy ze wszystkich, jakie się przed nim odbyły, bo przeszło 80 delegatów zebrało się z rozmaitych prowincyi. Pan Bóg już niemal wszystkich do siebie powołał, z tej ogromnej liczby zostało już tylko trzech przy życiu i wszyscy trzej znajdują się w oratoryum blizko siebie: to on sam — pierwszy, ks. Leon Forestier, pierwszy asystent Zgromadzenia — drugi, wreszcie ks. Mailly, dawny prokurator generalny, — trzeci. Radosny był nastrój w duszach podczas tego konwentu, bo liczba delegatów wymownie świad-

czyła o błogosławieństwie Bożem, jakie spływało na Zgromadzenie; niepokoiła jednak myśl, komu oddać ster, który przez tak długie lata znajdował się w energicznej dłoni O. Etienne (1843—1874), tem bardziej, że O. Boré zaledwo półczwarta roku po swym wyborze zakończył życie. Jakież zdziwienie ogarnęło O. Fiat, gdy wybór padł na niego, protestował raz i drugi, wskazywał na początek choroby uszu, która w przyszłości miała się skończyć utratą słuchu, ale musiał się poddać. Na następnych konwentach ponawiał prośbę o uwolnienie z urzędu, ale zawsze mu odpowiadano: *mane*, „zostań"; gdy wreszcie poprosił o pomocnika, powiedziano mu: *mane solus*, „zostań sam". I znowu go ogarnia zdziwienie, gdy mu w myśli stają długie lata urzędowania: 31 lat mija od jego wyboru, żaden inny generał, prócz św. Wincentego, nie stał tak długo na czele Rodziny, zeszły rok zrównał go w trwaniu na urzędzie z O. Etienne, w roku bieżącym i jego już przewyższył, on chory, bez słuchu, liche narzędzie w ręku Bożem.

Ręka Boża widocznie sama prowadziła łódkę Zgromadzenia, ręka Boża kierowała jego sprawami, ręka Boża i opieka św. Wincentego zastępowały jego nieudolność. Tu począł Ojciec Generał wyliczać wszystkie radosne i bolesne zdarzenia w przeciągu swych rządów, zatrzymywał się dłużej przy ważniejszych wypadkach, by wykazać, podkreślić, że wszystko, co dobre, było nie jego zasługą, lecz zrządzeniem Opatrzności.

A najpierw dekret Leona XIII. stwierdzający bezpośrednią zależność Sióstr Miłosierdzia od Generalnego Przełożonego Zgromadzenia Księży Misyonarzy; było to ostatecznem zacieśnieniem węzłów, zadzierzgniętych przez św. Wincentego, wyrazem tego, czego pragnęli wszyscy, rękojmią jedności na przyszłość. — Jasną, bardzo jasną i uroczystą chwilą w jego rządach było ukoronowanie statuy Matki Najśw. w Domu Macierzystym Sióstr Miłosierdzia, to akt wdzięczności obydwu Rodzin dla Najśw. Panny, bo z hojnych Jej rąk spływały strugi błogosławieństwa na prace dzieci św. Wincentego, Jej medal był dla nich skarbem najdroższym i kluczem do su-

mień ludzkich. Doczekano się wreszcie i osobnego Officium na cześć Najśw. Panny od Cudownego Medalu, przez co hołdy i modlitwy Zgromadzenia zjednoczyły się ściślej z modłami Kościoła. — Wielką pociechą także napełniło serca ogłoszenie przez Stolicę Apostolską św. Wincentego patronem wszystkich instytucyi miłosiernych, pracujących pod sztandarem Chrystusa — nowa, energiczna pobudka do poświęcenia się dla biednych.

Specyalną uwagę zwrócił O. Generał na liczne procesy beatyfikacyjne, bo one z jednej strony budzą wielką otuchę, z drugiej jednak strony uderzają jakby nowością, nie poruszano bowiem dawniej sprawy podnoszenia na ołtarze naszych Konfratrów i Sióstr Miłosierdzia, sądzono nawet, żeby się to sprzeciwiało pokorze, którą Zgromadzenie jako Zgromadzenie powinno praktykować. On postępował niejako wbrew tradycyi i chce się z tego usprawiedliwić. Tu przytoczył z własnego życia wspomnienie, które się głęboko zapisało w jego duszy. Jako członek domu w Montpellier spotkał się z konfratrem, którego powołanie podkopywały dziwne refleksye nad losami Zgromadzenia: nie widział w jego historyi żadnego świętego wyjąwszy jedynie samego Założyciela i fakt ten nasuwał mu dręczące wątpliwości o samym duchu Zgromadzenia. O. Fiat pocieszał konfratra, jak umiał, konfrater zwalczył pokusę, ale wrażenie zostało w pamięci na zawsze. Po wyborze na generała nie zawahał się ani na chwilę, zwłaszcza, że się spotkał z uznaniem dla swej myśli u Ojca św., któremu się zawsze zwierzał ze wszelkich trudności, znajdując w nim najlepszego doradcę. Dzisiaj mamy już dwóch Błogosławionych na ołtarzach, a nadto w toku sprawy W. W. de Jacobis, de Andreis, Rogue, W. Matki Le Gras, S. Katarzyny Labouré, Sióstr z Arras, Angers i Cambrai.

Podczas gdy dla zmarłych dzieci św. Wincentego szukano potwierdzenia nagrody w niebie, dla żyjących na ziemi otwierały się nowe, szerokie pola pod zasiew ewangeliczny, podjęto przedewszystkiem na nowo pracę apostolską na Madagaskarze, tę pracę tak drogą św. Założycielowi, a Chiny

wołały coraz głośniej i głośniej o nowych pracowników. Zresztą wszędzie domagano się nowych sił, założono przeszło 100 nowych domów.

Nadeszły jednak dni ciężkiego doświadczenia, zamykano we Francyi dom po domie, ginęło dzieło całych wieków, wszystko zdawało się łamać i zapadać, nie było żadnej pomocy na ziemi, tylko w niebie widocznie czuwał św. Wincenty, skoro Dom Macierzysty jednak ocalał. Ocalenie tego domu, rozkwit niebywały misyi w Chinach, rozwój przepiękny Zgromadzenia w Hiszpanii i Polsce były dla Ojca Generała jedyną pociechą w tych bolesnych chwilach doświadczenia. Wreszcie Holandya i Belgia po raz pierwszy otwarły za jego rządów swe granice dla naszych obydwu Rodzin.

Tyle bolesnych i radosnych zdarzeń w Zgromadzeniu, powtarzał po kilkakroć Ojciec Generał pod koniec konferencyi, Zgromadzenie coraz bardziej się rozwija, a on stary, bez słuchu, a jednak odpowiedzialny za to, co się dzieje wśród jego podwładnych; wzywa więc do zachowania Reguł, bo wolałby umrzeć, aniżeli być słabym i ze słabości dozwolić na rozluźnienie, prosi gorąco o modlitwę, bo modlić się za Generała, to znaczy modlić się za Zgromadzenie i odwrotnie. W mszale mamy nieraz do wyboru modlitwę *pro papa* lub *pro Ecclesia,* zostawia się do woli jedną lub drugą, bo ten sam w nich przedmiot; kto się modli za Papieża modli się za Kościół, kto się modli za Generała, modli się za całość, za wszystkich. — Tony prośby i wdzięczności, radości i troski rozbrzmiewały naprzemian w tym silnym, szczerym, wzruszonym głosie ojcowskim, płynącym ze serca, coby chciało wszystkich podnieść, ogrzać, do Boga pociągnąć. Minął szybko czas konferencyi i było żal, że to już koniec.

Nazajutrz Siostry polskie z zakładu św. Kazimierza wraz z dziećmi zebrały się w kaplicy Domu Centralnego przy ulicy du Bac, by przystąpić do Komunii, podczas Mszy św., którą miałem odprawić przed ołtarzem Matki Boskiej od Cudownego Medalu. „Miejsce, na którem stoisz, święte jest", zdaje się tam wołać każdy kamień, ale zdaje się tylko na

to, by spokój i jasną pogodę zlać w duszę. Nic dziwnego, że każdy się chce przed tym ołtarzem pomodlić, tam jakby kawał nieba na ziemię się przeniósł, tamby się chciało zawsze wracać, gdy pomocy z góry potrzeba. Wzruszający był widok tych dzieci polskich, zdala od rodzinnego kraju, u stóp cudownego ołtarza. Gdy je już wyprowadzono z domu, poczęły prosić, żeby je jeszcze raz poprowadzono do kaplicy; uparły się, nie było innej rady.

Topnieje powoli liczba dzieci w domu św. Kazimierza, bo coraz mniej także Polaków w Paryżu, zostają resztki emigrantów, a młodsze pokolenia, porwane w wir życia miejscowego, tracą w pewnej części poczucie narodowe, powiewy kosmopolityczne, a czasem i antyreligijne wyziębiają dusze polskie. Dawna emigracya była kwiatem narodu, kipiała życiem, pracowała za siebie i za drugich, organizowała się i dzieliła, myślała o wszystkiem i wszystko w gorącem sercu przeżywała, a choć z tego fermentu wypływały na powierzchnię męty i kwasy, to jednak w głębi rodziły się najszlachetniejsze w świecie myśli i projekty, najpiękniejsze nasze poematy i piękniejsze od nich dzieła miłości chrześcijańskiej; i one też najdłużej trwały i jeszcze dzisiaj istnieją, a wszystkie powiązane mniej więcej z historyą Sióstr Miłosierdzia w Paryżu. — Anna Czartoryska zakłada w r. 1834 Towarzystwo Pań polskich, które spieszyło z pomocą biednym emigrantom, utrzymywało szkółki polskie w Nancy i Orleanie, starało się o pogrzeb chrześcijański dla zmarłych rodaków. Dziesiątki tysięcy rozdawano rok rocznie między biedaków, zebrano znaczniejsze fundusze na przyszłość i jeszcze obecnie wsparcia roczne dochodzą do 15.000, choć szeregi zamożniejszych Polaków zdziesiątkowane, a biedy polskiej wiele. Anna Czartoryska również utrzymywała w hotelu Lambert zakład dla panien polskich, zrazu z pomocą rządu francuskiego, a potem, gdy zasiłki cofnięto, własnym kosztem w szczuplejszych rozmiarach. Ale tam przyjmowało się tylko dziewczęta od 12-tego roku, a sierót nieletnich było wiele; rzuca więc Anna Czartoryska myśl stworzenia drugiego zakładu dla osieroco-

nej i biednej dziatwy. Zrazu ten zakład nie bardzo był do zakładu podobnym, przenosił się z ulicy na ulicę, aż wreszcie znalazły się hojne serca. Pani Grocholska daje pożyczkę 100.000 franków, aż do odwołania — i nie odwołała, choć ją P. Bóg już do siebie powołał, tylko w razie kasaty majątek wróciłby do rodziny. Zakupiono więc w r. 1861 realność przy ulicy Chevaleret, a chociaż zakupno domu wraz z urządzeniem kosztowało 235.000 fr., utrzymanie roczne starców i dzieci dziesiątki tysięcy, dobroczynność polska wszystkiemu zaradzała. Zorganizowano osobny „Komitet" opiekuńczy, na którym jeszcze dotychczas spoczywa cały ciężar administracyi finansowej. Starcami zakładu zajęło się w dość znacznej mierze powstałe w r. 1862, w rocznicę wypadków warszawskich, Towarzystwo Czci i Chleba. Dawniej Rplta niepodległa rozdawało zasłużonym obywatelom chleb wdzięczności, *panis bene merentium*, darmo i hojnie, często nawet rozrzutnie i nieroztropnie, otóż nowe Towarzystwo postanowiło dobrowolnie spłacać dług narodowy zasłużonym i zubożałym, wypędzonym przez zaborcze rządy rodakom. Towarzystwo z Bohdanem Zaleskim na czele zaprowadziło dobrowolny podatek, który w niektórych latach dochodził do 20.000 fr. „Panie polskie" i „Instytucya Czci i Chleba", to jakby dwie ręce, które pomagały „Komitetowi" w podtrzymywaniu egzystencyi domu św. Kazimierza, ale tych dobroczynnych rąk trzeba było teraz więcej, bo były czasy, kiedy w zakładzie znajdowało się do 80 sierót, nie licząc już starców. Szczęściem stała na czele domu Siostra Mikułowska, prawdziwe słońce, co roztaczało w przytulisku ciepło miłości rodzinnej, co rzucało promienie pociechy i nadziei w dusze przygnębionych nieszczęściem biedaków, budziło uczucie litości w sercach zamożniejszych rodzin. — W r. 1866 zakupiono drugi dom w Juvisy, gdzie umieszczano chłopców i starców; jedna królewska, ukryta jałmużna na to starczyła. Od dwóch już lat opuściły Siostry to miejsce, a w roku bieżącym realność ostatecznie sprzedano. Żal było opuszczać ten dom, gdzie się codziennie spotykały polska nędza z polskiem i chrze-

ścijańskiem miłosierdziem. — Zostało z Juvisy kilka pięknych wspomnień, z których przytoczę tylko jedno z czasów oblężenia Paryża podczas wojny francusko-niemieckiej. Juvisy zajęła armia pruska, wśród mieszkańców zapanowała nędza, głód zajrzał także do domu polskiego. Było jednak wśród żołnierzy pruskich wielu Górnoślązaków. Gdy się dowiedzieli, że w Juvisy jest dom polski, a w domu głód panuje, zaczęli licznie do zakładu dochodzić, karmić i poić, czem tornistry żołnierskie były bogate. Kaplica w Juvisy i polskich Wizytek w Wersalu wypełniały się w niedziele po brzegi Ślązakami, a pamięć ich pobożności uwieczniono w naszych pismach emigracyjnych. (Pamiętnik Towarzystwa historyczno-literackiego z r. 1871).

Dzisiaj zmniejszyły się ramy pracy, ale w ramach ta sama treść, ta sama miłość dzieci św. Wincentego dla ubogich, a warunki trudniejsze niż dawniej, trzeba nieść w ofierze i własną osobę.

Z PROWINCYI POLSKICH.

Kraków-Kleparz. — Praca konfratrów w ostatnich dwóch kwartałach rozwijała się w tych samych ramach, co poprzednio. Wraz z konfratrami z innych domów prowincyi dawali nasi kilka misyi w tym czasie: w Kańczudze (w dyecezyi przemyskiej) od 1. do 4. kwietnia, w Zgórsku (w tarnowskiej dyecezyi) od 18. do 23. kwietnia, w Wadowicach górnych od 23. do 30. kwietnia, w Żdżarcu od 1. do 5. maja, w Busku (we lwowskiej archidyecezyi) od 15. do 22. sierpnia, w Łopatynie od 22. do 28. sierpnia, w Witkowie Nowym od 29. sierpnia do 3. września, nadto w Ryczowie (w dyecezyi krakowskiej) od 19. do 23. września. Oprócz tego dawał ks. Domaradzki rekolekcye ludowe w Synowódzku od 15. do 19. sierpnia. Dawali także konfratrzy z naszego domu w tym czasie kilka seryi rekolekcyi S. S. Miłosierdzia, w Krakowie od 20. do 29. maja i od 25. lipca do 3. sierpnia, we Lwowie od 20. do 29. czerwca, w Maryampolu od 15. do

23. sierpnia, a nadto we Warszawie od 4. do 13. lipca. Nadto dawał ks. Wizytator rekolekcye księżom świeckim we Lwowie od 23. do 27. sierpnia, a ks. Superyor Lewandowski w Kętach od 13. do 17. września. Prócz tego ks. Ciopalski przewodniczył rekolekcyom PP. Norbertanek na Zwierzyńcu od 15. do 23. lipca.

Z początkiem września opuściło dwunastu kleryków (kl. VIII.) Kleparz, przenosząc się na Stradom, tak że na Kleparzu pozostali sami tylko seminarzyści: 22 na drugim roku, 18 na pierwszym. Coraz liczniejsze szeregi młodzieży duchownej kupią się pod skrzydła św. Wincentego, jakby w odpowiedzi na list okólny O. Generała z 13. czerwca b. r., w którym skarży się na coraz bardziej zastraszający brak powołań we francuskich prowincyach Zgromadzenia.

Adres do naszych księży w Itayopolis (= dawniejszej Lucenie):

Brazil — Parana

N. N.

Itayopolis (Lucena)
via Rio Negro.

Dekreta Stolicy św.

Wkładanie Cudownego Medalika „in magno concursu populi“.

Prośba:

Ojcze święty!

Ks. Antoni Fiat, przełożony generalny księży Misyonarzy i SS. Miłosierdzia, upadając do stóp Waszej Świątobliwości, błaga pokornie, żeby dla ułatwienia wkładania Cudownego Medalika, podczas misyi i w razie gdy wielkiej liczbie ludzi medalik trzeba wkładać, zwolnić kapłana od wkładania go każdemu osobiście, lecz żeby wierni trzymali w ręku medaliki, podczas gdy je kapłan poświęcać będzie, a potem sami je sobie wkładali, gdy będzie nad nimi odmawiał przepisaną formułę w liczbie mnogiej.

Odpowiedź:

Św. Kongregacya Obrzędów, mocą władzy udzielonej przez Ojca św. Piusa X., zbadawszy to podanie, zezwoliła na to, aby wszyscy, którzy od rzeczonego przełożonego generalnego Zgromadzenia Księży Misyonarzy otrzymają władzę poświęcania i wkładania medalika Niepokalanej Dziewicy Maryi, zwanego powszechnie Cudownym, mogli w pomienionych wypadkach poświęcać i wkładać tenże medalik w wyżej wspomniany sposób, zachowując poza tem inne przepisy. Reskrypt niniejszy ważny jest na lat dziesięć. Inne przeszkody się znosi.

Dnia 16. czerwca 1909.

S. Kard. Martinelli, prefekt.
D. Panici, arcyb. Laodyc., sekretarz.

Nowa modlitewka odpustowa dla Zgromadzenia.

„Cor Jesu, fons vitae et sanctitatis, fac, ut, fideles filii, sancti Vincentii patris nostri vestigia sequamur.—Serce Jezusa, źródło życia i świętości, spraw, żebyśmy jako wierni synowie wstępowali w ślady Ojca naszego, świętego Wincentego“.

100 dni odpustu toties quoties.
(*Pius X., 25. maja 1909*).

Sprawa beatyfikacyi Wiel. Justyna de Jacobis.

Proces beatyfikacyjny świątobliwego biskupa, apostoła Abisynii, postąpił o krok naprzód. Dnia 7. lutego b. r. wydała św. Kongregacya Obrzędów dekret, zatwierdzony przez Ojca św. w dniu 10. tegoż miesiąca, a stwierdzający ważność procesu prowadzonego w imieniu Stolicy apostolskiej przez kuryę arcybiskupią w Neapolu co do *sławy świętości*, *cnót* i *cudów* Wielebnego Sługi Bożego Justyna de Jacobis.

---

†

Ś. p. ks. Emanuel Orriols.

(Por. Annales, 1909, 3.).

Ks. Emanuel Orriols urodził się dnia 3. lipca 1836 r. w Prats de Rey, miejscowości należącej do dyecezyi Vich w Katalonii, z rodziców bardzo zacnych i pobożnych. Od dziecięctwa już dawał liczne dowody szczególniejszego wybrańtwa Bożego, według słów Księgi Mądrości (VIII, 19): „A byłem dziecięciem dowcipnem i dostała mi się dusza dobra“.

Gdy podrósł, oddali go rodzice do szkół, zostawiając mu wolny wybór między dwoma zawodami: ojciec, lekarz, pragnąłby był, żeby syn jego poświęcił się medycynie, matka marzyła dlań o kapłaństwie. Młodzieniaszek zdecydował się wkrótce; każdemu, kto go pytał, odpowiadał: „Chcę zostać księdzem“. Usiłowano odwieść go od tego, opowiadając mu, ile to zaparcia i posłuszeństwa potrzeba kapłanowi, jak wiele będzie się musiał uczyć; on jednak bez namysłu odpowiadał: „Ja dam radę wszystkiemu!“ — Rodzice wysłali go więc do kolegium w Vich. Pozostał tam do ośmnastego roku życia. Tam także dojrzał w duszy jego zamiar oddania się P. Bogu w jakiemś zgromadzeniu. Największy czuł pociąg do naszego Zgromadzenia i z tym zamiarem zwierzył się rodzicom. Pełni ducha Bożego, nie stawiali mu żadnych przeszkód i z błogosławieństwem odprawili go do seminaryum Ks. Ks. Misyonarzy w Madrycie, w lipcu 1853 r.

Już wówczas przeczuwano w Hiszpanii wiszącą w powietrzu burzę rewolucyi; toteż dla bezpieczeństwa przeniesiono seminaryum madryckie do pogranicznego miasta Vitoria,

w prowincyi Alava. Tam więc odbywał nasz młodzieniec nowicyat aż do stycznia 1855 r. Po uspokojeniu umysłów mogli znów Ks. Ks. Misyonarze swobodnie przebywać w Madrycie. W stolicy zatem i Orriols doczekał się szczęśliwej chwili oddania się zupełnie P. Bogu przez śluby św., w lipcu 1855 r. Zaraz potem przeszedł na studya. Wtenczas to w całej pełni zabłysnął jego talent, a cnoty nie mniejszym jaśniały blaskiem. Zdziwiony jego bystrym i zdrowym sądem oraz wzorowem zachowaniem, powiedział doń razu pewnego jeden z Misyonarzy domu madryckiego, że kiedyś zostanie wizytatorem Zgromadzenia. Przepowiednia się spełniła, bo ks. Orriols miał ten urząd piastować przez lat trzydzieści. Pod koniec studyów w r. 1859 zapadł tak niebezpiecznie na zdrowiu, że lękano się o jego życie. Wysłano go zatem do domu w Badajoz na kuracyę. Tu powróciły mu siły dawne, dokończył więc teologii i 15. lipca 1860 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Dwa lata przebył w Badajoz, piastując już w tak młodym wieku urząd asystenta i prokuratora domu. W r. 1862 powołano go do Madrytu na profesora. A kiedy w pięć lat później otwarto na nowo już od trzydziestu dwóch lat zamknięty dom w Barcelonie, ks. Orriols pojechał tamże z woli ks. wizytatora Maller. W dwa miesiące zaledwo potem, 15. września 1867, wybrał się do Paryża i prosił O. Generała, żeby mu pozwolił przebyć pewien czas w seminaryum domu Macierzystego, dzieląc życie i zajęcia nowicyuszów. Pozwolenie uzyskał, ale niedługo się niem cieszył, bo już w pół roku potem (1868 r.) wysłano go do Madrytu na dyrektora tamtejszego seminaryum. Z bólem serca poddał się woli Bożej, wyznając swą nieudolność na to stanowisko; ale pokora ta tem większe zapewniała powodzenie jego posłannictwu. W pięć miesięcy potem nowe zamieszki rewolucyjne zmusiły go do opuszczenia ziemi ojczystej wraz z wychowankami i do osiedlenia się w Berceau de St. Vincent de Paul pod Dax. Przebył tam aż do roku 1870.

W tym czasie dziwna zmiana zaszła w życiu ks. Orriols. Jego gorące pragnienie coraz wyższej doskonałości, jego

pociąg do samotności oraz zamiłowanie w poniżeniu zrodziły w duszy jego zamiar, który coraz bardziej zaprzątał jego umysł. Postanowił wstąpić do Trapistów. Po kilkakrotnych prośbach uzyskał pozwolenie od O. Generała i udał się do opactwa Trapistów w Mortagne w Normandyi.

Tam w zaciszu klasztornem, zdala od świata, znalazł upragnione oddawna szczęście wewnętrzne, a siły fizyczne pozwalały mu oddać się wszystkim ostrym przepisom reguł; toteż jedynem życzeniem jego było pozostać tam aż do śmierci. Inaczej jednak postanowił Bóg Przewroty polityczne, wstrząsające Francyą wskutek wojny z Prusami, zniewoliły zakonników do opuszczenia opactwa i do powrotu w rodzinne strony. Zbolały zaś ks Orriols zdecydował się powrócić znów do naszego Zgromadzenia. Pospieszył zatem do Paryża, a uzyskawszy przyjęcie, podążył do Dax i do Berceau, a stamtąd dnia 19. września 1870 r. wraz ks. Valdivielso oraz kilku klerykami na Filipiny. W sam dzień Wszystkich Świętych tegoż roku stanęli u celu. Ks. Orriols przez cztery lata jako zwykły Misyonarz budował wszystkich w Manili swem cnotliwem życiem. Toteż gdy w r. 1874 zmarł w Madrycie mianowany przed rokiem wizytator prowincyi na Filipinach, ks. Salmeron, w drodze na konwent generalny, następcą jego mianowano ks. Orriols, a dwudziestoośmioletnie jego rządy chlubnie się zapisały w dziejach tej prowincyi.

Kochali go i czcili wszyscy. Jego delikatność i uprzejmość pomogła mu do zwyciężenia wszelkich przeciwności. Prostota z roztropnością we wszystkich sprawach, łagodność w rozkazach, oględne i pełne miłości obchodzenie się z tymi, którym musiał dać w czemś odpowiedź odmowną, nakoniec spokój i umiarkowanie w upomnieniach sprawiały, że u podwładnych zyskał wszystko, co chciał; owszem dla niego z przyjemnością spełniali nieraz to, czegoby innemu może byli odmówili.

Na r. 1902 przypadał konwent generalny; spieszył więc ks. Orriols do Europy. Pod koniec szczęśliwie przebytej drogi, niemal u bram Barcelony, upadł dwukrotnie na okrę-

cie, a tak nieszczęśliwie, że straszne cierpienia przykuły go do łoża boleści. Widząc się niezdolnym do pracy błagał o zwolnienie z urzędu wizytatora. Przez wzgląd na jego chorobę zgodził się na to O. Generał, tem bardziej, że nowo utworzona prowincya barcelońska (1902 r.) pragnęła go mieć swoim przełożonym. Leczył się w Madrycie; a gdy przyszedł nieco do siebie, wybrał się 5. sierpnia 1904 r. do Barcelony, zrazu jako konsultor prowincyi. Dnia 5. maja 1905 r. otrzymał nominacyę na wizytatora.

Zdrowie raz nadwyrężone, tem bardziej, że u siedmdziesięcioletniego niemal starca, już nie wróciło; przez ostatnich lat kilka o lasce mógł tylko chodzić, a siły opuszczały go coraz więcej. Toteż już we wrześniu 1907 r. zwolniono go z urzędu, mianując wizytatorem w Barcelonie ks. Jakóba Gelabert.

Ks. Orriols resztę dni spędził na przygotowaniu się do śmierci, roztaczając naokół siebie woń coraz bardziej jaśniejących cnót Misyonarza i kapłana. Powiada Ekklezyastyk (I. 13): „Temu, kto się boi Pana, będzie się dobrze działo na ostatku, a w dzień śmierci swej będzie błogosławiony". Sprawdziło się to słowo na ks. Orriols. Żył zawsze w bojaźni Bożej, zawsze z Bogiem zjednoczony; toteż choroba tylko ostatnie cienie w jego pięknej duszy oczyściła i bez konania przecięła pasmo dni jego, dnia 18. października 1908 r.

Ks. Fr. Vilanova.

Ś. p. Siostra Marya Januszkiewicz.

S. Marya Januszkiewicz, zwana Siostrą Gabryelą, zmarła w Choderkowcach dnia 23. kwietnia b. r. Cicha, skromna i wytrwała pracowniczka, zawsze i w każdym urzędzie wywiązała się ze swego zadania z powszechnem zadowoleniem Czy to służyła chorym bezpośrednio, czy też zajmowała się kuchnią, piekarnią czy podwórzem, niestrudzona jej działalność wszędzie była widoczną. Ostatnie lata zarządzała

gospodarstwem domowem w Choderkowcach, gdzie też dokonała swego żywota, mając 64 lat życia, a powołania 39.

Śmierć jej, jak i choroba krótka, lecz ciężka, była prawdziwie budująca. Nie marzyła o zdrowiu; poddana woli Bożej, patrzała na zbliżającą się śmierć spokojnie i odważnie, ufna w miłosierdzie nieograniczone swego Pana, któremu ochotnie poświęciła swe życie.

Ostatnie Sakramenta św. przyjęła z tkliwą pobożnością; w ciężkich cierpieniach najmilszą jej osłodą była codzienna Komunia św. Kiedy w wigilię śmierci nie mogła już przełknąć nawet płynu i z tego powodu nie mogła przyjąć Komunii św., zdając się i w tem na wolę swego Pana, nie okazała na zewnątrz przykrości z tego powodu, która aż nadto ujawniła się następnego poranku, gdy z tak bolesną tęsknotą, błagała gasnącym głosem, aby chociaż w najmniejszej cząsteczce dać jej P. Jezusa, bo nie chce umierać bez Niego. Dobry Pan skłonił się do próśb swej oblubienicy; przyjęła Go, a to zadowolenie i radość, jaka malowała się na jej obliczu, do łez nas rozrzewniła. Cały ten dzień była jakby w konaniu. Modliłyśmy się przy niej, a ona łączyła swe modlitwy z naszemi; usta jej poruszały się, odpowiadając na słowa Litanii do Najśw. Panny. Po skończeniu modlitw, przeżegnała się całując krzyżyk ślubny. Udając się ostatni raz na spoczynek przeżegnała się święconą wodą i usnęła na zawsze, aby obudzić się w błogosławionej wieczności. — Zwłoki ukochanej naszej zmarłej Siostry tak zmienione cierpieniem przed zgonem, jaśniały coraz to więcej szczęściem i młodością, nie wydając żadnej niemiłej woni, pomimo gorąca i ścisku, jaki panował z powodu tłumów ludzi, którzy nie mogli oderwać się od swojej ukochanej opiekunki, lekarki i matki, spędzając dnie i noce na modlitwie przy drogich zwłokach. W dzień urocz. Przeniesienia Relikwii św. Założyciela, wniesiono do kaplicy domowej zwłoki pokornej córki św. Wincentego, gdzie pozostawiono je przez noc, a nazajutrz przy łaskawym udziale Czcigodnych

Ks. Ks. Misyonarzy ze Lwowa, Sokołówki i Białego Kamienia, po licznych mszach św., złożono je do grobu na cmentarzu miejscowym. *S. Fr. M.*

R. I. P.

Zmarli Misyonarze:

1. Ks. Natalis Villarejo, 6. czerwca, w Madrycie, żył lat 49, w Zgromadzeniu 31.
2. Br. Michał Mac Tarlane, 16. czerwca, w Blackrock (Irlandya), żył lat 48, w Zgromadzeniu 29.
3. Ks. Piotr Ly w Pe-tang (Pekin), żył lat 54, w Zgromadzeniu 22.
4. Br. Jan Jung, 29. sierpnia, w Paryżu, żył lat 74, w Zgromadzeniu 40.
5. Ks. Edmund Richen, 31. sierpnia, w Theux (Niemcy), żył lat 47, w Zgromadzeniu 22.
6. Br. Mojżesz Vadilla, 8. września, w Madrycie, żył lat 27, w Zgromadzeniu 10.
7. Ks. Józef Norandi, 14. września, w Sassari (na Sardynii), żył lat 34, w Zgromadzeniu 14.
8. Kler. Jan Ortiz, 27. września, w Madrycie, żył lat 20, w Zgromadzeniu 4.

Siostry Miłosierdzia

z prowincyi krakowskiej:

1. S. Walerya Pochel, 16. lipca, w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 26, w Zgromadzeniu 2.
2. S. Rozalia Pawlikowska, 26. sierpnia, w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 21, w Zgromadzeniu 2.
3. S. Katarzyna Kostańska, 19. września, w domu Centralnym w Krakowie, żyła lat 53, w Zgromadzeniu 30.

R. I. P.

Kraków, drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.